Nr. 10 (1106). Warszawa, dnia 23 Lutego (8 Marca) 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

IMPERYALIZM ANGIELSKI.

Anglia przeradza się w oczach naszych. Dotychczas była mocarstwem najrozsądniej samolubnem; teraz stawać się zaczyna mocarstwem żarłocznem. W dawnem istnieniu swojem stroniła od trwałych, dla t. zw. równowagi zawieranych przymierzy; w nowem nie chce znać nawet doraźnych, które chwila rodzi i chwila grzebie. Dawniej pod pojęcie i poczucie podmiotowe Anglii podpadały tylko wyspy europejskie; reszta świata angielskiego, zagarniane gwałtownie od początku w. XVIII kolonie były rynkami handlowymi i pośredniczkami pomiędzy dziką puszczą, dostarczającą surowic ekonomicznych a wielką targowicą angielską w Europie. Obecnie „Anglia“ w samopoczuciu Anglika jest cały ogrom posiadłości, w których słońce, jedno, które jest, nie zachodzi, a i drugie jeszcze by się na widnokręgu jej zmieściło. Od kiedy Dilke wymówił czarodziejskie słowo „Greater Britain„ — Brytania większa od wielkiej — zaczęły się piętrzyć myśli i uczucia narodowe Anglików ku tym kręgom wszechświatowości i wszechmocy państwowej, których pojęcie ujęto w nazwę „imperyalizmu.“ Nie Anglia tradycyjna już dziś żyje, ale wielkie *empire*, wytwór nowoczesny.

Kolonie jeszcze stoją, jeszcze się same rządzą, jeszcze mają odrębne swe interesa i odrębne dążenia, ale już wielka owa forma coraz bardziej je tłoczy. Nie mogą mieć własnej swej marynarki i własnego, na nazwę armii zasługującego wojska. Anglia, im oszczędzając ciężaru, samej sobie oszczędza niebezpieczeństwa — walki z nimi, gdyby się zerwały do niepodległości; chociaż drugiego tego rachunku nie prowadziło ścisłe doświadczenie dziejowe, a psychologia tłumów samorządnych, od ognisk skuwającej je potęgi dalekich, wręcz przeczy skuteczności takich środków obronnych, jakimi państwo centralne zabezpiecza się od nieuchronnych kolei ludzkiej zbiorowej żądzy w koloniach. Jeżeli Anglię, która już Anglią dawną być przestała, można dziś jeszcze nazwać państwem kolonialnem, jakiem dawniej było, to nie w tem znaczeniu, aby państwową swą potęgę opierała na koloniach: ona ma w nich tylko stacye dla swej floty, stanowiska zbrojne na globie, rynki dla swych towarów, rozsadniki dla tych żywiołów narodowości angielskiej, którym w domu za ciasno i za biedno. Militarną potęgę i środki do jej utrzymania państwo centralne wydobywa z własnego swego społeczeństwa, wśród którego wyrosło, a ogromne spotęgowanie zbrojności jest jego własnym czynem i własną zasługą jego obywateli. To właśnie poczucie, że się stoi o własnych siłach, że się wielką politykę dźwiga na własnych ramionach — rozszerzając pierś, wraża w umysł coraz głębiej owo przeświadczenie o wielkości, równoznaczne z imperyalizmem. Środki i metody kulturalne tracą swą wagę wyłączną, jaką miały dawniej; ważniejsze od nich są te, które daje materyalna siła, wydobywana i zużytkowywana przez państwo.

Idea państwa, mocarstwa, państwowość jako zasada kierująca życiem zbiorowem coraz większe czynią spustoszenia w dogmacie starego Anglika *my castle is my kingdom.* Zamek nie jest już dziś warownią arystokratyzmu, jakby instytucyą społeczną, a królestwo przestało być metaforą każdemu panu grodowemu powolną. Sama zasada samorządu, która rozwijała się równolegle z zasadą indywidualizmu, szanowana wszakże tylko w granicach stronnictwa królewskiego—coraz bardziej marnieje. Zwolna społeczeństwo się upaństwawia, zrzeka się swych atrybucyj z gruntu wyrosłych, dla innych, wyrastających z władzy centralnej i przez nią powierzanych. Reforma hrabstw, urządzenie komitetów szkolnych, przeniesienie na państwo ciężaru opieki ekonomicznej — robią stały wyłom w starej Anglii, jako organizmie myśli przewodnich i podniet, utrzymujących ruch w społeczeństwie. Staje się ten naród u siebie coraz podobniejszym do narodów kontynentu europejskiego: Rechts u. Polizeistaat wypiera dawną rzeczywistą, naturalnie wybujałą udzielność. Prawo historyczne milknie i znika wobec kodeksowego. Dwa wielkie obozy polityczne przez historyę wyrobione wzajem rozrzucają ochronne swe wały. Jeszcze pół wieku temu można było mówić o liberalizmie jednych a zachowawczości lub wstecznictwie drugich; jeszcze dziesięć lat temu Gladstone dawał świetne dni stronnictwu liberalnemu: dziś zdradnem byłoby upatrywanie innej zasady, odróżniającej jednych od drugich, prócz idei wielkopaństwowości. Zachowawcy silniej przy niej stoją i silniej ją w życie wcielają; liberalni jeszcze się z liberalizmu nie wyleczyli i jako niedoskonali jeszcze imperyaliści — wstępują do szkółek zachowawczych na wychowanie. I to wszystko.

Jeżeli już przed trzydziestu laty zachowawcy podejmowali roboty liberalnych,

dziś gotowi byliby wziąć na siebie cały ich dawny programat, gdyby zasada owej wielkopaństwowości i jaknajwiększej przytem siły rządowej, nakazała im to w swoim i w ich też interesie. Zrobią sami co będzie potrzebne dla utrzymania się przy władzy i zachowania prerogatywy rządowej — obędą się bez liberalnych, obędzie się i Anglia. Wojna z Boerami zbyt wielką była pokusą, aby liberalizm po-gladstonowski mógł się jej oprzeć. Jak o Irlandyę rozbił się wielki obóz, wydając z siebie unionistów, tak o Transwal i Oranię, rozbił się pozostały jeszcze w obozie zastęp wyznawców liberalizmu, pozostawiając już tylko rozbitków niezdolnych do zorganizowania się w rzetelne stronnictwo, któreby się z narodu zasilało i w narodzie żyło. Wyższa nad wszystko żądza imperyalizmu zrodziła wstyd, wobec którego polityczna, w ściślejszem znaczeniu międzynarodowa, i w ścisłej mierze humanitarna część programatu liberalnego—topnieje, rozwadnia się i stopniowo ulatnia. Część społeczną niby podejmuje „Liga liberalna“ Roseberego ale i ona sama jest tylko przystankiem na drodze do owego imperyalizmu; silny rząd, silna polityka nazewnątrz, zupełnie jej z czasem wystarczą. Wolnomyślność, ani postępowość nie znikną wprawdzie, ale poszukają sobie nowych form, i w nowy sposób ustosunkują się do rządu i do społeczeństwa. Ale liberalizm historyczny w Anglii już przepadł i nic go nie wskrzesi. Gladstone przewraca się w grobie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

P. Koerber podczas rozpraw budżetowych dał wyjaśnienie swej mowy z d. 9 grudnia r. z. Nie zrozumiano ministra: nie powiedział on, że do walki z opozycyą użyje zawieszenia konstytucyi; powiedział tylko, że jeżeli w walce pomiędzy parlamentem a państwem drugi z tych zapaśników znajdzie byt swój zagrożonym, będzie go musiał rząd ocalić jedynym orężem, jaki wówczas zostanie. Zresztą, stosunki teraz poprawiły się, i niema co tak czarno patrzeć w przyszłość. Wyjaśnienia te wywołała mowa Gregra, potępiająca zachcianki absolutyzmu rządowego. Niczego właściwie p. Koerber się nie wyparł, tylko swój rozpęd złagodził. Gregr wskazywał potrzebę nowej konstytucyi, nowego urządzenia stosunków między lokatorami zamieszkującymi pod wspólnym dachem; ale tej sprawy p. Koerber wcale nie dotknął. Od lat kilku na tem miejscu wskazywano nowy układ praw w Przedlitawii jako teoretyczną konieczność, coprawda, niewierząc w jego praktyczną wykonalność.

Tymczasem rzeczywiście jest trochę lepiej. Budżet po wyjściu z komisyi wszedł do Izby, która się nim zajęła. Przyznano rządowi fundusz dyspozycyjny, a opozycya do upadłego mogła go odmówić. Koerber dziękując, przemówił przyzwoicie — potulnie. Na uwagę zasługuje mowa p. Michejdy o Śląsku austr. i o Niemcach, którzy swą chciwością i rozbójnictwem politycznym srodze uciskają. W księstwie Cieszyńskiem na 250,000 Polaków i 50,000 Czechów, jest zaledwie 50,000 Niemców: a pomimo takiego stosunku liczebnego Niemcy trzymają w garści zarząd ogólny, a zwłaszcza szkolnictwo. Na całym Śląsku jest ich tylko 40%, a prowincya ta wygląda tak, jakby ich miała 100%. Poseł mówił dobrze, z zacięciem i stanowczością; nie myślał raczyć panieńską skórką: dał męskie, silne słowo, pod którem tętniło serce. I dlatego właśnie, że mowa była dobrą, Kołu Polskiemu wydała się złą. P. Michejda należy do Koła.

Izba ma obradować do 20 b. m., po Wielkiej nocy od 5 kwietnia. Po budżecie przyjdzie taryfa, przyjdzie ugoda z Węgrami, cały szereg ugód, a wiadomo jak Węgrzy twardzi.

Lord Rosebery zerwał już stanowczo z Bannermanowymi szczątkami wielkiego obozu Gladstonowskiego. Napisał list wypowiedni i założył własne stronnictwo „Liga Liberalna.“ Sam jest jej prezesem, pomagają mu Asquith, Fowler i Grey. Liga jest imperyalistowską — ale przytem i społeczne reformy na swej żerdzi zatyka: tanie mieszkania dla robotników, walka z alkoholizmem, zakładanie szkół ludowych — słowem, dobrodziejstwa dla ludu. Wyrzec się też trzeba wszelkich porubstw z Irlandyą, wszelkich rozczuleń nad Boerami—całego gladstonizmu.

Boerom udało się d. 24 b. m. zaskoczyć cały oddział angielski złożony z 600 ludzi i wyłapać go prawie w całości, ale w trzy dni później, w rocznicę bitwy pod Majubą, Anglicy pod Harrismithem wzięli odwet. Przez trzy tygodnie w lutym zabrali 800 nieprzyjaciół. Walka zbliża się do końca. Męstwo i wytrwałość wkrótce już broń złożą: lepiej niż gdyby ją mieli składać ludzie.

Rząd pruski przedstawił sejmowi swemu obraz działalności kolonizacyjnej za r. 1901. Polacy ofiarowali Komisyi 52,056 hekt., Niemcy 101,270 hekt. Komisya nabyła 17,000 hekt. za 13 mil. marek; z tego 4,700 (28%) znajdowało się w rękach polskich; nie wiele braknie do całej mili kwadratowej. Dotychczas już 164,474 hekt. ziemi polskiej stracone są dla Polaków. I jeszcze się prawi o *Polnische Gefahr*!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Eldorado reform społecznych.

Pewnego pięknego poranku Europa dowiedziała się ze zdziwieniem, iż hen, daleko, za oceanem, istnieje osobliwa wyspa, która właściwie powinna była dawno wylecieć w powietrze. Gdy przed laty kilkunastu rządy europejskie zaczęły wprowadzać reformy hygieniczno-społeczne, połączone z nadzorem policyjnym, to pewni panowie z tęgimi brzuchami wołali, iż jest to „początek końca“ albowiem pieniądz podobnie jak miłość jest „cygańskie dziecię,“ które nie znosi żadnej niewoli, żadnych pęt tem bardziej, iż wskutek swej płynności i lotności odpływa tam, gdzie mu jest wygodniej. Kontrola rządu sprawi tylko tłumną emigracyę kapitałów. Przepowiednie Kasandr kosmopolitycznych nie sprawdziły się, ostoje ekonomiczne nie runęły i co dziwniejsza, jak się teraz okazuje, nasz ustrój ekonomiczny znosi bardzo poważne dawki reform bez szkody, a nawet z pożytkiem dla swego zdrowia.

Najwymowniejszym dowodem tego jest Nowa Zelandya, o której zamierzamy pomówić. Pierwszy opisał dokładnie urządzenia tego kraju znany mamut ekonomiczny, Leroy-Beaulieu, przyczem nadmienił, iż na tę Sodomę i Gomorę wcześniej czy później musi spaść siarczysty deszcz katastrofy, co jednak dotychczas nie nastąpiło. Po nim liczni ekonomiści odbywali specyalne wyprawy naukowe, aby na własne oczy przyjrzeć się cudom społecznym wyspy. Nie dziwmy się temu. Nowa Zelandya wyłoniła z siebie samorzutnie cykl instytucyj, które stanowią jeden zwarty samoregulujący się system, idealnie przystosowany do warunków miejscowych. Klucza do tego systemu należy zdaje się szukać w urzą-

---

10)

M. Grossek.

SERCE.

Potok ognistych zwierzeń otworzywszy sobie raz ujście, buchnął gwałtownie z piersi młodzieńca — wrzał, dyszał ogniem, parzył ją przez powietrze, zasypywał żużlami słów namiętnych... Odwróciła się od niego ze zgrozą i nie rzekłszy ni słowa, szybko, nie oglądając się, biedz zaczęła do domu. On dążył za nią krok w krok i pochylony nad nią, mówił jej w same ucho... mówił... mówił... bez końca.

O! teraz już nie miał najmniejszej nadziei—wszystkie jego złudzenia pierzchły w jednej chwili — wiedział już, jak beznadziejnie, jak fatalnie się oszukał. Z twarzy jej wyczytał odmowę najbardziej stanowczą z pośród stanowczych, niedopuszczającą cienia nadziei. Wyraz tej twarzy łagodny i słodki, wyrozumiały i pobłażliwy, rozgrzeszający go w tejże prawie samej chwili, kiedy grzeszył — był jednak tak wyniosły i tak przeraźliwie zimny!... Wyraz znieważonego w swej świętości anioła.

On się w tę twarz wpatrywał teraz z nienawiścią. Mówił nie dla tego, aby miał nadzieję być wysłuchanym—to rozpacz przez niego mówiła. Czuł jakąś fatalną, konieczną potrzebę wyrzucenia z siebie tego żaru, który mu ból sprawiał. Cierpiąc sam, chciał, aby i ona doznawała bogdaj przykrości, więc z radością „rozdzierał i drażnił jej święte uszy.“

— Niech wie — powtarzał z gorzką zaciętością—niech się gorszy.

Niewinność jej, która go tak zachwycała, gdy się zwróciła teraz przeciw interesom jego namiętności, irytowała go i służyła mu za cel pośmiewiska — rzucał się na nią i pastwił się przynajmniej słowami. Serafina tylko się czasem obejrzała za siebie, jakby niepewna czy dobrze słyszy — jakby wątpiąca czy to on mówi... i rzucała mu przez ramię krótkie, szybkie spojrzenie wyrzutu. Nareszcie widząc, że się go nie pozbędzie, stanęła w śród alei wiśniowej.

— Mój panie Antoni—zagaiła — czybyśmy nie mogli rozmówić się rozsądnie?—Ja panu dam jedną odpowiedź na to wszystko... Proszę, przypomnij-że sobie, że jestem od dwunastu lat zamężną, że mam męża i dzieci—przytem, skończyłam już lat trzydzieści—jestem od pana o dziesięć lat starsza. Zresztą, jest tyle panien na świecie, że i dla ciebie jeszcze się jedna znajdzie...

Był to dla niego niespodziewany błysk jej łaski, że się z nim rozmówić raczyła, to też wstąpiła w niego maleńka otucha. Pomyślał, że sumienie nie ustępuje od razu, że trzeba z niem powalczyć i potargować się.

— Masz męża!—zawołał ironicznie — ale czyż ty znasz miłość!—Trzydzieści lat! one mnie najbardziej obchodzą! wypisz je pani na tem czole, które jest gładkie i czyste jak czoło dziecka — mówił, patrząc tkliwie na jej czoło.—Tyś dzieckiem wobec mnie ze swemi trzydziestoma laty—jabym cię uczył dopiero kochać i żyć.

— Nie, to pan jesteś dzieckiem i wygadujesz dzieciństwa—odpowiedziała z kwaśnym uśmiechem niezadowolenia—a potem przemknął po jej twarzy żartobliwy i domyślny wyraz!—A może ja — rzekła — darmo słowa tracę... Możeś pan przy swoich imieninach... wina za dużo wypił?... No cóż? przyznajże mi się, panie Antoni.—Cała nasza sprzeczka takiby niewinny wzięła obrót.

dzeniach agrarnych, opartych na ideach „reformatora gruntowego," Henryka George'a. Zmarły przed kilkoma laty działacz ten upatruje, podobnie jak dwaj inni ekonomiści współcześni, maestro Loria i zdolny z młodszego pokolenia, Fr. Openheimer, w rencie ziemskiej grzech pierworodny ludzkości a w zniesieniu monopolu gruntowego prawdziwy eliksir życia, mogący zbawić społeczeństwa od wszelkich dolegliwości ekonomicznych. Jedno i drugie wydaje mi się przesadnem. Bądź co bądź europejscy „reformatorzy gruntowi" poprzestali dotychczas przeważnie na żądaniu „upaństwowienia" gruntu miejskiego przez gminy, podczas gdy u wejścia do wsi porozstawiali tablice z napisem: „Noli me tangere." Przynajmniej ani we Włoszech, ani w Niemczech, ani w Anglii zwolennicy „wolnej ziemi," że użyję terminologii Loria, nie zdobyli się ani na poważną organizacyę, ani zaokrąglony program.

W Nowej Zelandyi hasła George'a, które przywędrowały tam z Anglii, padły na glebę odpowiednią, albowiem przy chociażby średniem uświadomieniu społecznem i poczuciu sprawiedliwości ekonomicznej, wypływały konsekwentnie z całego położenia. Rozległe obszary niezajętej i leżącej odłogiem ziemi stałyby się w bardzo krótkim czasie pastwą spekulantów, którzy porobiliby krocie (przypomnę tu miliardera amerykańskiego, Astora) na swym łupie. Wprost na mocy platonicznego posiadania, nie ruszając palcem, wielcy właściciele ziemscy podnosiliby cenę gruntu z roku na rok, utrudniając dostęp do niego tym, którzy chcieliby utrzymywać się z uprawy roli. Proletaryat małorolny i bezrolny rósłby ustawicznie, napływając do miast i pogarszając warunki na rynku pracy. Polityka, sprzyjająca wzrostowi latyfundyj, które w dodatku składają się tu z ziemi nieuprawnej lub pastwisk, musi wcześniej czy później doprowadzić do katastrofy. W interesach samoobrony zatem kolonia musiała zboczyć ze swej pierwotnej polityki ekonomicznej i postawić sobie dwa zadania. Popierwsze należało wielką własność ziemską sprowadzić do granic minimalnych, ze względu na jej szkodliwe dążności antyspołeczne. Powtóre, trzeba było z gruntu zrobić rzecz publiczną, z której mógłby korzystać ogół biedaków lub ludzi nieposiadających w najobszerniejszem słowa znaczeniu. W ten sposób ziemia stałaby się również przytuliskiem dla wszystkich mieszczan, którzy bądź nie mogą wogóle znaleźć zajęcia, bądź też uzyskać odpowiednich warunków wynagrodzenia. Tylko w tym wypadku byłaby to reforma prawdziwie społeczna. Każdy obywatel bowiem, nie mający nic w swoim majątku oprócz rąk roboczych, mógłby w chwili ciężkiej szukać schronienia na łonie matki-ziemi, będącej własnością całego społeczeństwa, a więc również każdego biedaka. Dla rozwiązania tego zadania literatura ekonomiczna — specyalnie dzieła „reformatorów gruntowych"—podaje cały szereg środków. Zobaczmy jaką drogę obrała Nowa Zelandya, aby wykonać swój program agrarny, który jest w ścisłej harmonii z jej prawodawstwem przemysłowo-społecznem.

Apetyt wielkich dzierżawców pomiarkowano w sposób bardzo prosty. We wszystkich stanach australskich skrócono zarówno termin dzierżawy, jak obszar ziemi oddawanej pojedynczej osobie. Wyjątek zrobiono poniekąd dla gruntu wyłącznie pastewnego. Dzierżawcy dotychczasowi zaś mogą odnawiać swe kontrakty tylko pod warunkiem, iż zrzekną się połowy swego gruntu. Jednocześnie wszystkie stany australskie przedsięwzięły środki przeciwko wielkim majątkom ziemskim, już to zaprowadzając podatek specyalny na wielką uprawę roli, już to kształtując opłatę gruntową w sposób postępowy, tak, iż obszarników obciąża większe brzemię podatkowe, zmuszając ich do parcelacyi ziemi. W innych miejscowościach znowu opodatkowano „unearned increment" t. j. niezasłużony przyrost rentowy, co oczywiście nie dotyczy melioracyj. Gdzieindziej zaś absenteiści, nie zamieszkujący w swym majątku, opłacają aż 20%-owy podatek dochodowy. Najdalej posunęła się Nowa Zelandya ściągając podatek tylko z 13 tys. wielkich właścicieli, podczas gdy średnich i drobnych rolników zwolniono od wszelkiej opłaty, pomimo, iż kategorya ta liczy 96 tys. osób. Wartość grutu opodatkowanego określa się drogą oszacowania. Ażeby zaś nikomu nie działa się krzywda, to opodatkowany w razie niezadowolenia z niepomiernej opłaty może zaofiarować państwu kupno swego majątku. Tego rodzaju wypadek raz już się zdarzył. Wielki hodowca owiec, oburzony nowymi porządkami, odstąpił skarbowi swój majątek. Skutek był ten, iż na obszarze zamieszkanym poprzednio przez kilkanaście osób, obecnie umieściło się 300 ludzi.

To, co w rozwoju europejskim przebija się wolno i niezawsze wyraźnie, występuje tu w formie jaskrawej. Państwo bierze rozbrat z rzymskim poglądem na własność, na mocy którego posiadaczowi przysługuje bezgraniczne prawo „użycia i nadużycia." Przeciwnie, tu interesy jednostki są podporządkowane sprawom ogółu. Gdy zgłasza się kandydat na dzierżawę, to zapytują go o ilość owiec, które będzie wypędzał na paszę. Jeśli stado przewyższa 20 tys. sztuk, to niema dlań pastwiska w obrębie państwa. Zwolennicy George'a postawili niedawno w parlamencie wniosek, aby gmina mogła przytoczony wyżej podatek postępowy uzupełnić i udoskonalić na własną rękę, stosownie do potrzeb miejscowych. W innych okręgach zaczynają się tworzyć kolonie o własności wspólnej i na zasadach odbiegających od modły dotychczasowej. Słowem, sam duch przenikający prawodawstwo australskie, jest tego rodzaju, iż w istocie mógł wprawić w rozpacz wspomnianego Leroy - Beaulieu, ktory ideał swój upatruje w stanie rzeczy, kiedy wszyscy trzymają się za czuby a silniejszy dusi brutalnie słabego. Tylko wtedy bowiem dokonywa się dobór „naturalny," rasa nieudolna ginie, a zwycięzca rozmnaża się jak piasek na brzegu morskim i gwiazdy na stropie niebieskim.

Dotychczas przyglądaliśmy się urządzeniom zapobiegawczym, skierowanym przeciwkoześrodkowaniu gruntu w ręku nielicznej magnateryi rolnej. Teraz zobaczymy w jaki sposób państwo, że się tak wyrażę, demokratyzuje własność ziemską. Już w 1891 r. ministeryum nowo - zelandzkie uzyskało od parlamentu olbrzymi kredyt, który pozwala rządowi skupować wielkie majątki i parcelować je działami o wielkości maksimalnej 320 akrów. Ponieważ procedura szła bardzo wolno, to w r. 1894 i 1896 wydano dwa „Compulsory Repurchase Acts" o wywłaszczeniu przymusowem wielkich dóbr parcelacyjnych. Do roku ubiegłego przeszło na własność państwa 77 majątków, które następnie podzielono pomiędzy 1600 rodzin, uwzględniając oczywiście przy podziale żyzność ziemi. Z pośród zgłaszających się kandydatów pierwszeństwo otrzymują bezrolni. Reforma ta wywołała niespodziewane zupełnie skutki, pomimo iż literatura europejska „reformatorów gruntowych" poniekąd je przewiduje. Wskazywała ona niejednokrotnie, iż wystarcza rozparcelować tylko część majoratów i latyfundyów aby zmusić pozostałych właścicieli ziemskich do dobrowolnej parcelacyi, gdyż zwyżka płacy roboczej na wsi pod wpływem demokratyzacyi ziemi podniesie odpowiednio koszt produkcyi. Nastąpiło to w istocie w Au-

---

Oj! oj! coby to mama na to powiedziała gdyby tak słyszała tę rozmowę!...

— Taaak!? robi mnie pani błaznem i pijakiem!—Odpędzają mnie jak smarkacza.— Matką mi grożą! Może pójdziesz pani na mnie na skargę? — Dacie mi może rózgą?...

Oparł się plecami o drzewo, głowę zwiesił, pięści zacisnął, nie mógł oddychać.

— Jakże jestem nieszczęśliwy!—zawołał z mocą — miłość moja nie zasłużyła sobie nawet na szacunek, drwią ze mnie!... Ale ja panią ostrzegam... ja proszę panią,.. nie obchodź się tak ze mną!—nie kop mnie nogą jak psa. — Ja mogę zrobić coś strasznego!...

— Ach! doprawdy z tobą się dzieje coś nadzwyczajnego—zawołała Serafina, zaniepokojona jego wyglądem—co ci się stało?— Wszystko zaczynasz na wspak rozumieć! — Ja nie uważam cię za dziecko... i dla tego właśnie mam do ciebie żal... krzywdzisz mnie!... Jesteś dorosłym mężczyzną i masz obowiązek wiedzieć, że to obraza!... że grzech mówić w ten sposób do kobiety zamężnej... Za kogo ty mnie masz?—Opamiętaj się!... uspokój się... myśl tak zdrożna pomiędzy nami!...

I oddaliwszy się trochę od niego, mówiła stroskana niby sama do siebie.

— Powiedzcie, co mu się stało tak nagle?... w gorączce jest czy coś takiego?... Ty jesteś, mój drogi, jakby nieprzytomny. Ach, niedobre dziecko!—I siadłszy przy nim, wstrząsała go lekko za ramię, budząc go, niespokojna, z jego dziwnej, przerażającej martwoty... Już ją pokonała zupełnie ta cicha, niema rozpacz... Ściągnięte usta, brwi kątami wzniesione, szeroko otwarte oczy, z wyrazem zaniepokojenia szukające jego wzroku — ręce, dotykające jego rąk i czoła jak przy badaniu chorego i głos pojednawczy, serdeczny, wszystko to robiło z niej śliczną postać „Współczucia" przy nim, który stał jak wryty posąg „Rozpaczy."

— Weźmy tę całą sprawę na rozum! — prosiła, odgarniając mu włosy z czoła. — Rozumiesz przecie, że nie mogę zostać twoją żoną?... więc?—czegóż chcesz?—Do czegóż to wszystko prowadzi?--czego się dręczysz?—Jeśli mię... lubisz... i ja... także... moje serce jest ci oddane—wydzwonił głos jej czysty i poważny. — Potem zamilkła, jakby wsłuchując się w jakieś głosy dalekie... czy wewnątrz niej mówiące...—Wszystko jest jaknajlepiej, możemy się zawsze, całe życie widywać... nasze rodziny łączy dawna zażyłość, możemy sobie świadczyć przysługi, dawać sobie nawzajem niezliczone dowody serca... Czegóż chcesz więcej?...—perswadowała z nieporównaną niewinnością i prostotą.

Te argumenty wydawały się jej tak jasne i dzielne, że nie przypuszczając, aby czyjś umysł ostał się przed nimi, uczuła się uspokojoną i pocieszoną. Wsunęła mu ochoczo rękę pod ramię. — Ach jakże pragnął pchnąć ją z całych sił, ażeby się potoczyła i upadła... lecz zdołał się powstrzymać. Pociągnęła go delikatnie w aleję, chcąc go ruchem uspokoić i rozerwać.

Ponury i osłupiały dał się prowadzić. W milczeniu postępowali drogą oblaną słońcem, którą siekły gęste cienie wiśniowych prętów, a w powietrzu wisiało od nich coś, jak perska gaza, haftowana w srebrne i zielone pasy, która przesuwała się szybko, migocąc po ich twarzach, rękach i odzieniu. Szli poufnie oparci o siebie jak przyjaciele, lecz między nimi nie było pojednania, ani nawet zrozumienia; szli smutni oboje, a w koło nich było tak wesoło! Drzewa wiśniowe trzęsły się od wróbli i ich świergotu. Chmury ptactwa z odgłosem silnie strzepniętego płótna zrywały się od czasu do czasu i pierzchały przed nimi. Serafina wyrzucała sobie w duszy swą srogość. On kocha, biedne niedorzeczne dziecko, czyż wina jego jest tak bezprzykładna?

stralii. Brak parobka i taniej siły roboczej przyspieszył proces parcelacyi gruntu.

Szczyt reformy stanowią przepisy o wypuszczaniu obowiązkowem przez państwo ziemi w dzierżawę dziedziczną wszystkim zgłaszającym się kandydatom, pozbawionym funduszów. Wprawdzie nie jest to jeszcze uspołecznienie ziemi w duchu szkoły George'a, gdyż do tego brak kilku bardzo poważnych reform, a przedewszystkiem zakazu sprzedaży gruntów rządowych, ale w każdym razie mamy tu do czynienia z najbardziej radykalną reformą agrarno-społeczną, zapobiegającą narodzeniu proletaryatu wiejskiego, a zarazem ciągłemu napływowi do miasta niekwalifikowanych pracowników, poszukujących zarobku za wszelką cenę. Kadry robotnicze miast składają się z fachowców, spojonych znakomitemi organizacyami zawodowemi. Stąd przedewszystkiem ich wpływy. Współzawodnictwo na rynku pracy jest dzięki temu ujęte w normy, z któremi, chcąc nie chcąc, muszą się liczyć wszelkie warstwy społeczne. Duch demokratyczny młodej kolonii dokonał reszty.

Prawodawstwo przemysłowo-społeczne Australii przedstawia trzy wybitne punkty: ubezpieczenia na starość, obowiązkowe sądy rozjemcze i ustalenie minimalnej skali płacy zarobkowej.

Każda osoba po przekroczeniu 65 roku życia, o ile nie rozporządza określonym przez prawo majątkiem, pobiera starczą pensyę roczną, około 180 rubli. W razie posiadania pewnych dochodów traci się w odpowiednim stopniu prawo do renty. 50% wszystkich osób, liczących więcej nad lat 65, pobiera pensyę starczą ze względu, iż cudzoziemcy są z tego przywileju wykluczeni. Za przykładem Nowej Zelandyi poszedł również stan Walii Nowo-Południowej, gdzie rentę roczną nieco podniesiono, a nawet wyznaczono ją parom, w których oboje małżonkowie są w wieku uprawniającym do jej pobierania.

Donioślejsze jeszcze znaczenie posiadają sądy rozjemcze, obowiązkowe w tem znaczeniu, iż żadna ze stron walczących w przemyśle nie ma prawa rozstrzygać punktów spornych na własną rękę za pomocą środków gwałtownych, w rodzaju strejku lub masowego odprawiania pracowników (t. zw. lockont). Wszystkie tedy sprawy podlegają instytucyom rozjemczym, w których zasiadają sędziowie obierani utrakwistycznie przez stowarzyszenia zawodowe i związki przemysłowców. Strona pozwana nie ma prawa odrzucać proponowanej jej interwencyi sądowej. Z apelacyą można zwracać się do instancyi wyższej, zwanej „Izbą pojednania.” Jeden z ekonomistów amerykańskich (Lloyd), który opisał szczegółowo cały ten aparat „pokoju społecznego,“ zepewnia, iż w kraju niema dziś ani jednej partyi niezadowolonej z reformy. Nietylko masa pracujących, właściwa życiodawczyni nowego urządzenia, popiera instytucyę wszystkiemi siłami, upatrując w niej wielką zdobycz kulturalną, ale nawet opozycya zachowawcza, która pierwotnie upatrywała w reformie zamach na „prawa przyrodzone“ własności, udzieliła jej błogosławieństwa przez swego dowódcę parlamentarnego. „Stworzyliśmy, zdaje się — brzmiała opinia odnośna — najlepsze prawo, jakie można było wymyślić dla dobra kolonii.“ Ustawa ma oprócz swej misyi pojednawczej inne znaczenie pośrednie dla stosunków społecznych. Tylko korporacye mianowicie mogą uciekać się do pomocy sądów rozjemczych. Wskutek tego zarówno pracownicy jak zwierzchnicy są zmuszeni łączyć się w stowarzyszenia i związki. Ponieważ minimalna liczba członków wynosi siedem, przeto każda grupa przemysłowa bez wyjątku może utworzyć ciało zbiorowe. Luzacy nieprzystępujący do żadnej organizacyi, nie wynoszą ze swego odosobnionego stanowiska żadnych korzyści, albowiem sąd może rozciągnąć moc swego wyroku nad osobami stojącemi po za organizacyą. Dzięki tym przepisom, sądy przemysłowe stały się regulatorami przemysłu we wszystkich doniosłych i niezliczonych kwestyach najmu pracy. Sądy, jako przedstawiciele bezstronności wyrokującej, czuwają zarówno nad stowarzyszeniami zawodowemi, jak związkami zarobkodawców. Tak baczą one, aby związki nie zwyrodniały stopniowo w cechy o charakterze odrębnym i egoistycznym, nakazują stosowanie rozmaitych reform, jak np. prowadzenia listy członków pozbawionych zajęcia, którą należy na żądanie przedstawiać zwierzchnikom. Z drugiej strony zaś zmuszają one przedsiebiorców do oddawania pierwszeństwa wyrobnikom, należącym do stowarzyszenia zawodowego. Przedewszystkiem zaś sądy rozjemcze dokonały przewrotu w swej roli regulatorów płacy zarobkowej. W każdym odnośnym sporze instytucya określa na własną rękę i odpowiedzialność wynagrodzenie robocze, a powołanie swe spełnia w sposób wzorowy. Nadewszystko strzeże się ona szablonu i formalizmu, który mógłby zrujnować daną gałąź przemysłu lub nadać tej albo innej grupie przywileje cechowe. Sądy ustalają trzy stopnie płacy: skalę wyższą, przeciętną i minimalną, obowiązującą odpowiednio do wytwórczości i kwalifikacyj wyrobnika, przyczem granicy minimalnej nikomu przekraczać nie wolno. W ten sposób staje się zadość sprawiedliwości społecznej, która wynagradza każdego podług zasług. Dla zazdrości i rywalizacyi niema tu również miejsca. Przytem nie czyni się uszczerbku interesom przemysłu, ponieważ wynagrodzenie rośnie równolegle z wydajnością pracy, a nadto bierze się pod uwagę pozycyę danej gałęzi na rynku, słowem unika się uogólnień szkodliwych dla dziedziny tak ruchliwej, zmiennej i różnolitej, jak przemysł. Dzięki tej indywidualizacyi, mechanizm działa znakomicie.

Jeśli teraz ogarniemy jednem spojrzeniem całokształt reform społecznych Nowej Zelandyi, to możemy ustrój jej określić jako system wszechstronnej równowagi sił społecznych. W przeciwieństwie do Europy rola określa tu minimalną stopę życiową ludu pracującego. Ponieważ ziemia na mocy urządzeń społecznych przyjmuje z otwartemi rękami każdego obywatela, to przemysł nie może się dać przelicytować przez rolę pod karą utraty swych sił roboczych i musi ofiarować pracownikom mniej więcej tyle, ile przynosi uprawa ziemi chłopu małorolnemu. W przemyśle znowu sąd rozjemczy stopniuje to minimalne wynagrodzenie odpowiednio do kwalifikacyj najmity i wydajności jego pracy.

H. Forszteter.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Instynkt wychowawczy.

W tej chwili Warszawa straszliwie ziewa — słuchając wykładów pedagogicznych. A ma do tego zupełne prawo. Jakakolwiek moc osadziła człowieka na ziemi, wyposażyła go bardzo czule i rozumnie. Dała mu bowiem gotowe rozwiązania najważniejszych i najtrudniejszych zagadek życia i wiedzy, pozostawiw-

---

Alboż najdziwaczniejsze urojenie, najniemożliwsze zachcianki nie nurtują umysłów dojrzalszych, niż to dziecko? Jest to smutny obłęd sięgnąć po kobietę zamężną, którą już nie same tylko śluby, lecz prawo krwi związało z innemi istotami, odwracając oczy, oślepione obłędem, od tego cudnego ogrodu dziewic, od tych świeżych wiosennych pączków, które czekają tylko słońca miłości, aby się otworzyć, marząc o ręce, któraby je zerwała i do piersi przypięła, o ustach, które z nich spiją całą rozkosz życia!

Ale to zboczenie uczucia, ten obłęd rozumu można sprostować i uleczyć. Serafina nie jest psychologiem, więc wierzy w absolutną skuteczność tak zwanych perswazyj. Z dobrą wiarą i otuchą podejmuje więc trud przekonania młodzieńca, że zygzak piorunu na chmurze był potarciem zapałki o ścianę. Już przyoblekła się w wesołość, w tę sztuczną, niezgrabną, poczciwą wesołość, którą przybiera Litość, pocieszająca Smutek, gdy sama ukradkiem łzę ociera.

— Nie przyjrzałeś mi się, mój chłopcze, stara baba ze mnie. Pod oczami mam kurzą łapkę i siwe włosy na skroniach. Zresztą jeżeli jeszcze teraz trzymam się jako tako, to zobaczysz co będzie ze mną za kilka lat! Tobie się zaledwie porządny zarost wysypie, gdy ja już będę córki za mąż wydawać i grzybieć! Trzydzieści lat, mój drogi, to starość dla kobiety — mogłabym być nieledwie twoją matką.

I wpatrywała się w niego badawczo, oceniając jaki to na nim skutek wywiera. Słusznie mówił Antoni, że była dzieckiem, podobna w tej chwili do małej dziewczynki, która ścisnąwszy w palcach rozbite skorupy z lalki, czeka z uśmiechem aż się zrosną. Ale słowa nie zmieniają faktów, słowa nie skleją rozbitego czerepu.

Tymczasem jemu w głowie, jak w pustej beczce, dudnił głos jakiś obcy, niby nie należący do jego własnej myśli.

— Co ona takiego mówi?... czego ona chce odemnie?

Z szału wpadł w obojętność jak w omdlenie i doznawał ogromnej ulgi w tym stanie. Uwaga jego czepiała się podręcznych drobnostek, jak to bywa u dzieci, w ciężkich chorobach, przy zupełnem wyczerpaniu nerwowem, gdy zawieszają się wyższe funkcye umysłu. Całkowicie zajął go naprzykład biały, ogromny kot, który rozkrzyżowany na czterech łapach zawisł na stromej topoli, w zapale łowczym zapędziwszy się zbyt wysoko i krzyczał teraz, spoglądając to w dół, to w górę ze strachu i złości, bo mu tymczasem wróble stadami przefruwały przed samym nosem. Antoni żałował, że nie miał przy sobie dubeltówki, aby śrótem „poczęstować opasa“ — wydało mu się w tej chwili, że to by było największem zadowoleniem — pobiegłby nawet po broń do domu, gdyby nie ta dziwna, szalona niemoc... paraliżująca mu ciało i wolę... I nic nie czuł więcej, żadnej w głowie myśli, ni pragnienia. Wyznanie miłości, rozbicie się nagłe wszystkich nadziei, rozdzierający ból serca... wszystko to wydawało mu się snem — albo głupstwem, albo czemś tak dalekiem... czemś, co się przytrafiło może przed stu laty i może nie jemu, a komuś? Głos wewnętrzny badał go: „ty cierpisz?“ — „czy to jest nieszczęście? straszne nieszczęście?“ — „Nie, wcale!“ — odpowiadał sam sobie, wstrząsając się. Próbował; czy włada dobrze członkami, oglądał ręce swe i nogi, poruszał głową, czy całą ma na karku. Nie! nie został w niczem uszkodzony, nie stało się więc nic ważnego, skoro nie umarł i jest takim, jak wprzódy! Rozglądał się naokoło po świecie... i tutaj zmiany żadnej! Słońce tak wesoło świeci — ptaki świergoczą — wszystko stoi jak stało! Gdzież jest to nieszczęście?.. w czem tkwi, gdzie się ukrywa?.. Jest to coś, co tkwi w jego głowie — jest to

szy mu tylko łatwe i podrzędne, ażeby się nie nudził bezczynnością. Jak pieszczoch, który dostawszy od bogatych i troskliwych rodziców majątek, stanowisko i wszystkie przywileje losu, nie potrzebuje się kłopotać o najdokuczliwsze jego przeciwności i może myśleć tylko o wypełnieniu utrwalonych ram szczęścia najprzyjemniejszymi szczegółami, podobnie człowiek uwolniony został przez naturę od wielkich strapień poznania i bytu. Nasza planeta posiada obecnie około 1611 milionów mieszkańców. W tej masie są setki milionów istot, ktore nie słyszały o Arystotelesie, nie widziały kolei żelaznej, nie umieją robić butów, nie znają tabliczki mnożenia; ale niema stu, któreby nie wiedziały, skąd powstał wszechświat, jak się nazywali pierwsi ludzie, co się stanie z duszami po śmierci ciał itp. A jeżeli nawet tych stu (uczonych) ma pod tym względem jakieś wątpliwości, to oni starannie kryją się z niemi przez wstyd i obawę ściągnięcia na siebie niesławy. Musicie zaś przyznać, że daleko trudniejszą do odsłonięcia tajemnicą okryty jest początek wszechświata, niż robienie butów.

Otóż do tych świateł, zapalających się w naszych głowach samorzutnie, jeszcze przed dojrzałością umysłową, należy pedagogika. Gdybyśmy najgłupszemu prostaczkowi wytknęli, że on nie wie, ile jest 7 razy 8 — nie obraziłby się; ale gdybyśmy mu chcieli dowieść, że nie umie wychowywać dzieci, spojrzałby na nas tak zdumiony i oburzony, jak gdybyśmy go przekonywali, że nie umie jeść. Wychowywanie bowiem dzieci uważa on — a z nim także ogół za przyrodzoną funkcyę naszego mózgu, niewymagającą ani doświadczenia, ani wiedzy. Jest to poprostu dalszy ciąg instynktu płciowego. Kto potrafi wytworzyć dziecko, potrafi je także uzdolnić do życia. Że tak jest — dowodem zwierzęta. Dzikie psy, konie, świnie, strusie, kuropatwy nie uczą się pedagogiki, a jednakże jak pysznie kształcą swoje potomstwo. Tymczasem my, ludzie, pomimo różnorodnych wiadomości i rozumu, jeżeli chcemy wyhodować psa, konia, świnię, kurę, strusia, musimy czytać odpowiednie podręczniki i radzić się specyalistów. Bo nie będąc rodzicami tych istot, nie posiadamy względem nich naturalnego instynktu pedagogicznego. Chłop nieraz pyta sąsiada lub pana ze dworu o wskazówki co do wołu i krowy, ale chyba nigdy nie żądał wskazówek co do swojego syna i córki. Tu on wszystko wie — i lepiej, niż ktokolwiek inny.

Ta przyrodzona, a może objawiona wiedza jest tem bardziej zdumiewającą, że dotyczy sprawy niezmiernie trudnej i powikłanej. Owa bowiem prosta pozornie postać, która posiada prawie zawsze dwoje oczu, uszu, nóg i rąk, jeden nos, niezbyt urozmaicone włosy i kształty czaszki, jest ustrojem nietylko bardzo złożonym, ale także nadzwyczajnie rozmaitym w swych właściwościach i kombinacyach wewnętrznych. Ileż w niej mieści się odmian zdolności, pożądań, potrzeb, większych i mniejszych odchyleń od normalnego typu! Bezmiar różnic prawie niemożliwych do spostrzeżenia i kierowania! Mimo to nawet ostatni z ojców i matek, głuptak, który nie wypowiada dwóch myśli logicznie związanych, pijaczyna, który psychologię uważa za kosztowny rodzaj wódki, okrutnik, który całą pedagogikę zawarł w kiju, spodlona chamka, której wahadło życia porusza się między brutalstwem czynów a złorzeczeniem słów, przegniła w swych uczuciach ladacznica, która wysysa jadowite owoce bezwstydu — nawet ci, nic umiejąc zdziałać nic dobrego i rozumnego, umieją wychowywać dzieci. Czy to nie cudowny talent? Czy wobec niego potrzebne są jeszcze jakieś wykłady, książki i pisma pedagogiczne? Zaiste należy się dziwić wyrozumiałości ludzkiej, która czytając te puste i zbyteczne mędrkowania lub słuchając ich, poprzestaje tylko na ziewaniu, zamiast całą tę filozofującą makulaturę wrzucić jako ściółkę do obory, gdzieby przynajmniej krowy wygodnie na niej poleżały. Sprawiedliwość każe przyznać, że nasze społeczeństwo dość wymownie objawia swój wstręt do takiej literatury. Wydawnictwa pedagogiczne są przedmiotem powszechnej odrazy; sam tego doświadczyłem, gdyż w szeregu dzieł, które wyszły moim nakładem, dwa tylko nie pokryły kosztów — oba pedagogiczne. Uważałem zresztą tę stratę za zupełnie zasłużoną karę.

Ale umysł ludzki, który też dyabłu płaci dobrowolnie znaczne podatki, który nic pozostawia w spokoju najprawdziwszej zasady i najświętszej oczywistości, który wszystko musi podważyć i zakwestyonować, targnął się również na przyrodzony geniusz wychowawczy rodziców. W nielicznych na szczęście głosach dowodzi on, że pedagogika jest nauką i sztuką bardzo trudną, że wymaga osobnych i rzadkich uzdolnień, że nawet najlepsi i najrozumniejsi rodzice bądź nie mają odpowiedniej wiedzy i czasu, bądź też kierując dziećmi zwykle do nich niepodobnemi według wzorów z siebie zdjętych, mimowolnie dokonywają na nich gwałtu, że ogromna masa ograniczonych i złych wyrządza swemu potomstwu nieobliczone szkody — że wogóle wychowanie domowe jest przeważnie albo fantastyczną improwizacyą, albo lichem partactwem, albo bezkarną zbrodnią. Nie sądzcie, ażebym nie czuł dreszczów zgrozy, wypisując te bluźnierstwa. Słyszę wyraźnie okrzyki słusznego gniewu, widzę wzburzone postacie, które wołają:

— Kto oprócz mnie zdoła dać moim dzieciom wszelkie wygody? Kto je tak nakarmi, ubierze, wypieści? My mamy 12,000 rubli rocznego dochodu; przy takich środkach chyba możemy zadośćuczynić najkapryśniejszym wymaganiom pedagogiki.

— Cieplej atmosfery domu rodzicielskiego nie zastąpi dzieciom żadna mądrość. To nic nie znaczy, że mój mąż siedzi przez dzień w biurze a wieczorem w klubie, że mnie dużo czasu pochłaniają wizyty i zabawy, jednakże bliska, chociażby krótka obecność naszych gorących serc więcej da naszym dzieciom, niż wszystkie systemy pedagogiczne.

— Niech tak będzie: jestem głupia, brutalna, skarżę się nieraz swojej pięcioletniej córce na ojca, który o nas nie dba, w uniesieniu rzetelnie ją wygrzmocę, ale ja jestem matka! Ma-a-a-tka! Rozumiecie!

— Wara od moich dzieci! Bo one moje! Ja piję — one nie będą piły; ja kradnę, one nie będą kradły. A jeśli nawet będą mnie naśladowały, to moja i ich sprawa, do której niech nikt nie wtrąca swego nosa!

I tak dalej.

Sądzę, że żaden z czytelników nie oprze się sile tych twierdzeń, które spoczywają na dwóch niewzruszonych pewnikach: 1) że dzieci są bezwzględną i nieograniczoną własnością rodziców, z którą, jak z każdą inną, wolno im robić, co się podoba, a więc: kształcić, umoralniać, zaniedbywać, znieprawiać, itd., 2) że każdy człowiek ma wrodzony instynkt pedagogiczny, którego nic nie zastąpi i który wskazuje rodzicom najwłaściwsze drogi i cele wychowania.

Wobec tych pewników jaki sens i jaką racyę bytu posiadają katedry uniwersyteckie, książki, czasopisma, wykłady publiczne, poświęcone pedagogice? Oczywiście nie mają żadnego sensu i żadnej racyi. Raczej należałoby pisać i mówić przeciwko tym bezużytecznym a często szkodliwym paplaniom. Są one zaś szkodliwe nietylko dlatego, że osłabiają wiarę w nieomylny instynkt, ale jeszcze bardziej dlatego, że pobudzają niedojrzałe i niesforne umysły do marzenia, że kiedyś, kiedyś powstaną

---

jego myśl własna! Myśl? — ależ to bagatela, głupstwo, jedno nic... Alboż myśl nie jest jego własnością i nie zależy od niego?.. On tę myśl odmieni — wyrzuci ją z siebie!.. Myśl to urojenie! to nic rzeczywistego! — Ona widziała w nim zasadę zmiany i tłomaczyła ją sobie jak najkorzystniej. To też aby kuć żelazo, póki gorące, przedsiewzięła swaty.

— Gdybyś, kochany panie Antoni, za cztery lata to wszystko, coś mnie dziś mówił żartem — bo to był żart, nieprawdaż? — powtórzył na seryo mojej Loli — ach, jakże byłabym szczęśliwą! Mieć cię na zawsze przy sobie, swoim synem!.. Pozwolisz, że ja dzisiejsze oświadczyny przyjmuję na conto Loli? Przypuśćmy, żeś się w imionach pomylił. Nie chcesz? za długo ci czekać? No to mam przecież i teraz dom pełen ślicznych kwiatków i wiem nawet o jednym, któryby bardzo pragnął być przez ciebie uszczkniętym! Czy mam przed tobą zdradzić sekret tego serduszka?

O dobre chęci! — o przysługi niedźwiedzie! — o swaty po miłości! — o stypy po pogrzebie! Jakże to wszystko rozdzierająco jest bolesne w ustach, które nam miały powiedzieć to jedno tylko słowo: „kocham.“

Słowa Serafiny cuciły go do życia, jak prąd elektryczny, ponieważ bolały! Jednocześnie z tem czuł rękę jej na swem ramieniu i oddech jej na szyi. Rękę tę zaczął przyciskać do siebie, coraz silniej, coraz namiętniej. Ona mu ją nieznacznie wysunęła pod pozorem, że musi unieść sukni nad błotem — aby go nie urazić i nie dotknąć. Lecz on się poznał na wybiegu i zabolało go to strasznie. Wyrwał się, machnął ręką na znak, że dość ma tej gadaniny i, rzuciwszy się w bok niespodzianie, przez zagony i krzaki uciekł na przełaj, z twarzą śmiertelnie zmienioną.

A Serafina wzruszyła ramionami, z wyrazem przykrego zniechęcenia.

Jeszcze nie ochłonęła z wrażenia tylko co przebytej, niemiłej sceny, gdy wręczono jej telegram o smutnym wypadku w rodzinie. Wspólna krewna jej i Stanisława, mieszkająca na Litwie, pani Krzeczko, w której domu wychowali się oboje, która skojarzyła ich małżeństwo i wyposażyła własnym majątkiem, została nagle sparaliżowana. Tegoż samego dnia jeszcze Kucz, spakowawszy się na prędce, wyjechał na kilka miesięcy, a Serafina chodziła po domu jak osowiała.

Wobec tak ważnego i nieszczęśliwego zdarzenia zbladł w jej oczach i poszedł w zapomnienie ogrodowy epizod z Antonim, tem bardziej, że upłynęło trzy tygodnie i dom Różyńskich nie dawał znaku życia, a sam Antoni nie pokazał się więcej w aptece. Serafina była mu za to wielce wdzięczna. Palnąwszy tak kapitalne głupstwo, dobrze przynajmniej, że dawał jej o niem zapomnieć i czekał, aż czas je zatrze. W przypomnieniu brało górę pierwsze wrażenie: czuła się obrażoną i dotkniętą. „Jak on śmiał!..“ — myślała, oblewając się gorącym rumieńcem. I jak niemile, krępujące byłoby dla niej teraz spotkanie z tym młokosem, który z nią przeprowadził tak bezecną rozmowę! Musiałaby zmienić się w obejściu dla swego ulubieńca, a to by jej przyszło z trudnością. Na szczęście widocznie i on sam się wstydził i nie chciał się pokazać, aż cała ta sprawa pójdzie w zapomnienie i można ją będzie traktować jak niebyłą. Zresztą powracała najchętniej do pierwotnego domysłu, że oświadczyny te były dziełem imieninowego podchmielenia.

(C. d. n.).

wielkie domy wychowawcze, w których dzieci (jak to już po części spełniła Szwajcarya) rozwijać się będą pod umiejętną i troskliwą opieką pedagogów — przepraszam — psychologów. W tych zakładach, urządzonych i kierowanych według zasad nauki, której pomagać będzie szczera miłość dla młodych istot i szczere pragnienie wykształcenia ich na możliwie najlepszych ludzi, mają być osiągane cudowne wyniki. Niedorzeczna bajka, z którą nasz rozum może się pogodzić, ale nasz instynkt pedagogiczny — nigdy. Pielęgnujmy go więc... Co mówię? Brońmy tylko jego praw. Bo niema takiej głupoty, któraby go przegryzła, niema takiej kałuży, w którejby on, tarzając się codzień, stracił swą czystość. Jest to nieoszacowany i niezwyciężony talizman, który sprawia takie cuda, że przy nim można się urodzić Kopernikiem a umrzeć organistą, lub z małego księdza Baudouina stać się dużym dusicielem noworodków.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Historya Polski

NA PODSTAWIE EKONOMICZNEJ.

—♦—

III.

Mieszczaństwo przemysłowo-handlowe i chłop czynszowy, oba te czynniki, które zaczynały potrosze zarysowywać się w Polsce, a których przyjęcie od wyżej rozwiniętego Zachodu przyśpieszone zostało przez spustoszenie tatarskie, czynniki właściwe już gospodarce pieniężnej, nowemu systemowi produkcyi i organizacyi ekonomicznej, mogły wyprowadzić i Polskę także ze stanu gospodarki naturalnej i pchnąć ją na drogę rozwoju, prowadzącego do stanu państwa przemysłowego, zaczęły też one działać w tym kierunku; lecz specyalne warunki, wynikające zarówno z nabytej już energii wytworzonych poprzednio sił społecznych, jak z położenia geograficznego, stanęły temu na przeszkodzie i spowodowały w dość krótkim czasie reakcyę ku zwyrodniałej gospodarce naturalnej z jej całą nadbudową. Można powiedzieć, że taką jest kwintesencya dziejów Polski.

Mieszczaństwo przemysłowo - handlowe wymaga opieki silnego rządu, zapewniającego spokój wewnętrzny, bezpieczeństwo i jednolitość prawną na możliwie najszerszej przestrzeni. Dlatego całkiem naturalny jest wszędzie jego sojusz z monarchą przeciw wielmożom-rolnikom, przyzwyczajonym do samowoli. Od Leszka Czarnego datują się jego objawy. Opierając się na miastach, dążą książęta do wzmocnienia swej władzy i rozszerzenia jej na inne dzielnice — do zjednoczenia Polski. Ale pierwszem nieszczęściem miast, wypływającem z pośpiesznej kolonizacyi niemieckiej, jest ich obcy charakter i ciążenie ku zagranicy; Kraków oddaje koronę to śląskim Henrykom, to pomaga w jej zagarnięciu czeskiemu Wacławowi. Panowie stają wówczas po stronie wyganianego przedtem króla — Łokietka — sprawiają z nim razem mieszczaństwu krakowskiemu straszny upust krwi i trzymają już odtąd miasta pod względem politycznym w silnem podejrzeniu. Jednak wzmocnienie władzy królewskiej i zjednoczenie Polski są już trwałymi nabytkami, a z nimi razem — uregulowanie i ujednostajnienie stosunków prawnych (za Kazimierza Wielkiego), ukrócenie samowoli panów duchownych i świeckich. Ekonomicznie miasta jeszcze jakiś czas się rozwijają, popierane przez królów. Osiągnąwszy jedność, Polska zaczyna przyłączać do siebie kraje ościenne, co odbywa się też pod wpływem konieczności obrony od wrogów zewnętrznych (Krzyżaków). Przyłączenie Litwy, później Prus, a szczególnie najwcześniejsze—Rusi Czerwonej przez Kazimierza Wielkiego, odbija się na rozwoju Polski. Na Rusi szlachta otrzymuje nadania w ziemiach, które wkrótce przynoszą jej wielki dobrobyt, i to zarówno tym, który wyemigrowali na Ruś, jak tym, którzy dzięki emigracyi pozostali w Polsce w mniejszej liczbie, więc jakby na większej przestrzeni. Ten wielki dobrobyt szlachty, właśnie całej masy szlachty, staje się podstawą tak równości szlacheckiej w stosunku do magnatów, jak demokracyi szlacheckiej w stosunku do króla. Ludwik kupować musi ulgami podatkowemi itp. zgodę szlachty w kwestyach następstwa tronu (Koszyce, 1374). Za Kazimierza Jagiellończyka, który opiera się na szlachcie przeciw możnowładzcom, rozwijają się sejmiki, później sejm szlachecki; następnie każde panowanie zaznacza się jakąś zdobyczą polityczną szlachty, aż do zrzeczenia się najwyższego prawa sądownictwa przez Batorego, aż do sejmu inkwizycyjnego nad samym królem (1592) za Zygmunta III. Szlachta, bogata, niezależna, rozwijająca ożywiony handel zbożem, jest zresztą klasą ruchliwą, i żywotną, pełną poczucia swego interesu publicznego, tęgą w wojnie i polityce. Ale medal ma odwrotną stronę. Właśnie dlatego jest też klasa szlachecka żądna panowania, i to monopolu władzy. Jeżeli po najściu Tatarów, w pierwszych czasach kolonizacyi niemieckiej, wskutek złego stanu rolnictwa, popieranie przemysłu, zakładanie miast, leżało w interesie monarchów i wielmożów w celu ciągnięcia z nich dochodów w formie opłat itp., to po przyłączeniu wielkich, z początku prawie pustych, lecz potem niezmiernie żyznych obszarów Rusi i podniesieniu całego rolnictwa środek ciężkości przeniósł się znów na nie, kolonizacya stała się przeważnie rolną, rozwój miast i przemysłu przestał być niezbędnym, przeciwnie, pod niektórymi wprost ekonomicznymi względami stanął w sprzeczności z interesem szlachty. Przemysł krajowy, aby się rozwijać, wymagałby ceł; ziemianie zaś chcieli tanio kupować, a czy od kupców zagranicznych, czy swoich, to im było wszystko jedno. Dlatego równolegle z wzrostem władzy politycznej szlachty, a szczególnie od końca XV do połowy XVII w., idą takie postanowienia, jak uwolnienie szlachty od wszelkich ceł i myt (już w Nieszawie, 1454), jak regulowanie cen towarów przez wojewodów, żądanie od kupców przysięgi, że nie będą sprzedawali z zyskiem wyższym nad: rodak 7%, cudzoziemiec 5%, Żyd 3%. Od Zygmunta Starego zaczyna się równolegle ograniczanie praw Żydów. Jednocześnie miasta usunięto z sejmów, mieszczan — pozbawiono prawa zajmowania urzędów, a nawet — kupowania gruntów (1537). W XVI w. prawodawstwo odbiera szlachectwo trudniącym się łokciem i kwartą; w XVII — wprowadza różnice w ubiorze między szlachtą a mieszczaństwem i innymi stanami.

Lecz królowie zmuszeni byli wydać na łup demokracyi szlacheckiej nietylko mieszczanina, ale i chłopa, na którego skórze odbiło się to znacznie krwawiej. Dawno, jeszcze w okresie podziałowym, zaczęli wielmoże zamieniać kmieci, którzy prawnie byli podwładni im jedynie jako naczelnikom grodowym, na takich samych swoich osobistych poddanych, jak chłopi, czyli potomkowie niewolników, którzy uprawiali ziemię pańską. Mieszko Stary zabraniał tego, bo walczył z wielmożami; lecz, jak wiadomo, wielmoże wszędzie odnieśli zwycięstwo nad książętami i dalej „uchłopiali" kmieci, a to z czasem tem bardziej, że w miarę rozwoju własnego rzemiosła w miastach usługi „narokowe" dla grodów stawały się zbyteczne — więc przechodziły na panów. Rycerze znów, nieutrzymywani już przez księcia, służyli na wojnie na własny koszt za otrzymaną ziemię, a mając jej niezbyt wiele, dozorując wreszcie bezpośrednio swych chłopów, wyciskali z nich wszelkie możliwe daniny i usługi, co powodowało często zbiegostwo do dóbr duchownych. W w. XIV, pod wpływem kolonizacyi niemieckiej i zaczynającego się rozwoju w kierunku gospodarki pieniężnej, rozpowszechnia się czynszownictwo zamiast danin i usług, które Kazimierz Wielki popiera; dzięki ogólnemu podniesieniu dobrobytu i uregulowaniu stosunków prawnych położenie chłopa staje się też wówczas względnie lepszem. Mimo to jednak, dziwi nas, że Gorzycki, który zresztą z natury rzeczy zdziera maski z wielu wyidealizowanych przez szlachecką historyę postaci, przyjmuje i potwierdza nazwę „króla chłopów," dobroczyńcy, Kazimierzowi Wielkiemu nadaną. Doliwa stanowczo mu tej nazwy zaprzecza, wykazując, że w Statucie Wiślickim po raz pierwszy zawarte zostało prawne przytwierdzenie chłopa do ziemi. Postanawia on bowiem, iż kmiecie lub mieszkańcy jednej wsi nie mogą w liczbie większej nad jednego lub dwóch przesiedlić się do drugiej bez woli pana wsi, którą zamieszkują, z wyjątkiem, kiedy pan gwałci żonę lub córkę kmiecia, kiedy z powodu nadużyć lub winy pana dobro kmieci marnieje, lub kiedy pan przez rok zostaje pod klątwą kościelną. Pan, któryby przyjął zbiegłego kmiecia, płaci karę pieniężną. Motyw jest bardzo wyraźny: „zbiegowie swym panom czynią częstokroć dziedziny puste." Nie dość na tem; nawet sołtysa, który na mocy prawa niemieckiego kolonistów korzystał z tak godnego stanowiska, Statut Wiślicki poniża i wprost przywiązuje do gleby: zabrania mu bowiem sprzedawać swoje sołectwo, wydzierżawiać lub długiem obciążać, bez pozwolenia pana; z drugiej strony, zakazuje szlachcie kupować sołectwa, jak to było dawniej we zwyczaju, „ponieważ urząd sołtysa zawsze jest służebny" (*servile*). I innymi swymi przepisami: o dochodzeniu urodzenia szlacheckiego, o różnych karach za zabicie szlachcica, sołtysa, kmiecia — prawodawstwo Kazimierzowe uprawomocnia ostatecznie przepaść między stanami.

W każdym razie, „ledwie Kazimierz oczy zamknął — twierdzi i Gorzycki — szlachta zaczęła usilnie dążyć do ujarzmienia stanu chłopskiego." Jednym z objawów tej dążności było zamienianie czynszów na pańszczyznę, czyli cofanie się od formy pieniężnej do naturalnej. Przyczyna tego zjawiska, nie wymieniona ani przez Gorzyckiego, ani przez Doliwę, leży oczywiście w rozwoju handlu zbożowego, prowadzonego przez szlachtę: robocizna chłopska pozwalała szlachcicowi wytworzyć więcej i potem otrzymać więcej pieniędzy za zboże, niż z czynszów. Widzimy tu więc typowe zjawisko społeczeństw klasowych: postęp ekonomiczny i wszelki inny klasy panującej połączony jest z uwstecznieniem klasy podwładnej. Ta sama przyczyna skłania szlachcica do odbierania chłopu jego działów i przyłączania ich bezpośrednio do swego majątku, które zaczyna się już w drugiej połowie XIV w., wzmaga się w XV i XVI, staje się systemem, tak że gdy na początku XIV w. rozmiary przeciętnego gospodarstwa chłopa wynoszą 2 łany, a sołtysa 6, na początku w. XVII spadają do $^1/_4$ łanu. Ponieważ chłopu w tych warunkach coraz trudniej było płacić czynsz, więc tem bardziej ustępował on miejsca pańszczyźnie, uznanej przez Statuty Mazowiecki 1389 i 1421 r., Krasnostawski 1477 za obowiązującą każdego chłopa w oddzielnych prowincyach, przez sejm Bydgoski 1520 r. wreszcie—w całym kraju.

Pańszczyzna jest stale i systematycznie powiększana; oblicza się naprzód z łanu, potem (od 1603 r.) — uciążliwiej dla chłopa — z chaty. Wyzysk ten wywołuje zbiegostwo; przeciw niemu zwraca się więc prawodawstwo szlacheckie. Rozległe i mało zaludnione ziemie ruskie, przyłączone do polski na skutek unii z Litwą, nęcą chłopa; w drugiej połowie XV w. zbiegostwo na Ukrainę dochodzi do zatrważających rozmiarów; że zaś w r. 1455 szlachtę zwolniono od wszelkich podatków i ciężarow, które zwalono na barki chłopa, więc mocne przytwierdzenie tegoż do gleby pańskiej leżało również w interesie państwa. Stąd statuty Jana Olbrachta w r. 1496, opiewające: iż nietylko kmiecie, ale i ich synowie zostają na zawsze przytwierdzeni do gleby: „aby synowie kmiecy pod pozorem uczenia się nie łotrowali, jednemu tylko wolno udawać się na naukę,“ i to za pozwoleniem pana; synowie jedynacy bezwarunkowo nie mogą opuszczać wsi. Przy sposobności statuty te zamykają kmieciowi dostęp do urzędów kościelnych. Równolegle chłopu odcięto dostęp do sądów. Z obyczaju dawnego, mającego źródło w tradycyach rodowych, na mocy którego pan towarzyszył kmieciowi do sądu, wyrasta nieprawomocność chłopa w sądzie bez obecności i zgody pana, dalej — zakaz wytaczania sprawy przez chłopa przeciw panu (druga połowa XV w.), wreszcie — oddanie sądownictwa nad poddanym w ręce pana (sejmy warszawskie 1557 i 1573), połączone z drakońskiem karaniem zbiegów, z prawem życia i śmierci. Rzymskie tradycye odrodzone i przyniesione przez humanizm, są tłomaczone w duchu szlacheckim: Jan Zamojski, przywódca braci szlacheckiej, jest wyznawcą teoryi, że w Polsce poddani równi być powinni niewolnikom rzymskim.

Naturalnie, takie rzeczy działy się i na Zachodnie; ale tam silnie rozwijające się miasta oddawna, od XII i XIII w., podawały rękę chłopom przeciw panom, istniała łączność między dwoma tymi odłamami klasy rządzonej, która wreszcie w Anglii w XVII, we Francyi w XVIII w. doprowadziła do przewrotu w duchu nowożytnym. W Polsce łączność tę przerwano wcześnie; uchwały zjazdów szlacheckich (np. Krasnostawskiego w 1477), wtrącając się do samorządnego prawodawstwa miejskiego, zakazywały miastom przyjmować zbiegów, co się praktykowało na Zachodzie. Królowie są narzędziami szlachty; nawet Zygmunt I, który wyjątkowo próbował oprzeć się na magnatach przeciw szlachcie, oświadczył w r. 1546, że nie zamierza wtrącać się między szlachtę i kmieci. Ponieważ przytem lud w Polsce odwykł od wojennego rzemiosła, więc bunty chłopskie były słabe i rzadkie; w XV w. tylko, współcześnie z husytyzmem, objawiło się pewne wrzenie, a współcześnie z niemieckimi związkami chłopskimi w końcu XV w. wybuchł i u nas bunt Muchy za Kazimierza Jagiellończyka, rychło stłumiony przez wojsko najemne.

Wprawdzie w XVI w. zanosiło się trochę w Polsce na rewizyę istniejących poglądów i instytucyj pod wpływem Reformacyi religijnej. Między innymi, najśmielsi z protestantów, jak Modrzewski, Rej, protestowali też przeciw zbyt wielkiemu uciskowi chłopa i nawoływali do poprawy pod tym względem. Ale Reformacya miała już u nas inny charakter, niż na Zachodzie. Nie oparła się na miastach, bo choć mieszczanie mocno jej sprzyjali, ale nie byli już siłą. Nie oparła się też na monarsze. Udzielnym książętom niemieckim, którym Reformacya przynosiła możność konfiskaty dóbr kościelnych i nieograniczone prawo rządu, u nas odpowiadali magnaci; dawno już, bo od czasu Władysława Laskonogiego, mieli oni pewne dyferencye z potęgą duchowieństwa; kościelne daniny ciążyły im. Wielu z nich podobała się Reformacya. Dla podobnych powodów poszło za nią wiele szlachty mniejszej. Lecz właśnie dlatego król Zygmunt I nie widział w Reformacyi dla siebie żadnej korzyści i zaczął ją zwalczać. Wówczas zaś butna szlachta zrobiła ze sprawy wolności wyznania kwestyę swobody i przywilejów stanu szlacheckiego, i Reformacya zaczęła szybko wzrastać, jednak nie jako nowy kościół jednolity, bo najrozmaitsze sekty znalazły jednakową wolność i równouprawnienie. Lecz duchowieństwo katolickie nie było już wówczas w Polsce samodzielną potęgą, którąby umiała naciskowi ogółu opierać się gwałtownie, i z którą też było warto walczyć ostro. Już w XV w. humanizm znalazł oddźwięk zarówno u Kazimierza Jagiellończyka, dążącego do ograniczenia oligarchii, jak u szlachty, niezadowolonej z opłat na kościół i Rzym, i król wziął był znów w swoje ręce nominacyę biskupów. Przytem pod wpływem potęgi szlacheckiej duchowieństwo przestało być osobnym stanem, a zostało częścią stanu szlacheckiego. Sama szlachta weszła przecie w posiadanie dóbr i przywilejów kościelnych; klasztory były dla niej, i tylko dla niej, miejscem ubezpieczenia na wypadek zubożenia itp.; ona korzystała ze szkół duchownych. Zamiast więc przewrotu kościelnego, dążono z początku tylko do unarodowienia kościoła bez zmiany w nim wewnętrznej, potem — zapewniono sobie wzajemną tolerancyę. Resztę zrobili jezuici. Z początku, za Zygmunta III,*) oparli się oni na królu, popierali jego powagę i dlatego krytykowali nadużycia szlachty i możnowładców (Skarga i in.); gdy jednak Władysław IV chciał się oprzeć ich zgubnej dla Polski polityce międzynarodowej, przerzucili się na stronę szlachty, zostali teoretykami jej nieograniczonej wolności, powoli opanowali ją zupełnie, w końcu (w XVIII w.) wypędzili i tolerancyę.

Sądzę jednak, że należałoby tutaj, w sprawie nieprzyjęcia się w Polsce Reformacyi, uwydatnić względy polityki międzynarodowej, czyli zarazem położenia geograficznego, które od samego początku odgrywały w tej kwestyi ważną rolę. Jeśli Reformacyi uległa wogóle północna część Europy środkowej, a oparła się południowa, to w znacznej mierze pod wpływem żywotnej potrzeby spójności przeciw Turkom. W Polsce, bezpośrednio stykającej się z Turkami, musiała też działać ta przyczyna: już Husytyzm nie znalazł w Polsce gruntu i nie doczekał się od niej poparcia pod wpływem tej przyczyny. Polska miała do obrony przed Turkami kraje ruskie, zbyt ważne dla szlachty. Nie obroniła ich wprawdzie: bo jezuici zrobili z Polski narzędzie walki religijnej. Ta polityka pozbawiła Władysława IV tronu moskiewskiego. Rozzuchwalona szlachta, obawiając się wzmocnienia władzy królewskiej, nie chcąc przytem narażać swych majątków na Rusi w wojnie z Turcyą, uniemożliwiła jego szerokie plany, zmierzające do uwolnienia Słowian, podbitych przez Turków, a wymagające dobrego traktowania Kozaków. Odtąd zaczął się upadek. Zetknięcie się pańszczyźnianej, bezwzględnej polityki szlachty z bitnym, wojowniczym ludem ruskim, z Kozactwem, dało początek rozpadaniu się terytoryalnemu państwa. Najdalej na Wschód wysunięta placówka wojującego katolicyzmu oprzeć się zaledwie zdołała Szwecyi i Turcyi najpierw, potem utrzymać się nie mogła pomiędzy Rosyą i Prusami, tem bardziej, że wewnętrzny rozwój tych państw, dla każdego zresztą odmienny doprowadził obydwa do stanu silnej monarchii, gdy tymczasem w Polsce miary wewnętrznego rozkładu dopełnił wzrost potęgi i rywalizacyi możnowładców na tle ruiny i zwyrodnienia masy szlachty.

Dr. K. Krauz.

*) Przeniesienie elekcyi i stołicy do Warszawy nastąpiło ze względu na większe przywiązanie szlachty mazowieckiej do katolicyzmu, które było następstwem większego zacofania ekonomicznego Mazowsza, niż Małopolski.

LITERATURA I SZTUKA.

DWIE KSIĄŻKI.

Mam przed sobą dwie książki. Jedna głosi intensywność śmierci, druga rozprawia o intensywności życia.

Przez literaturę współczesną przewija się długi szereg personifikacyi Śmierci. A wszystkim tym postaciom ojcem jest Lessing, który pierwszy wprowadził Śmierć zgoła inną, niż sobie ją wyobrażały wieki średnie. Lessing powiada: „Jest Śmierć blada, upiorna; szybuje na czarnych skrzydłach, dzierży miecz, zaciska zgłodniałe zęby, rozdziawia pożądliwie paszczę, ma krwawe paznokcie, którymi znaczy swe ofiary, postać jej jest tak ogromna, że zaciemnia całe pobojowisko, a na swych skrzydłach miasta całe unosi...“

Takim jest geniusz, którego Lessing przeciwstawił średniowiecznemu pojmowaniu śmierci, jako kościotrupa przyodzianego w krwisty płaszcz, kłapiącego zębami i zmiatającego kosą rzesze zatraceńców.

Obraz śmierci, uplastyczniony przez Lessinga, wysubtelniły czasy najnowsze. Od „Tristiana“ Wagnera, „Hanusi“ Hauptmanna, „Mistrza z Palmyry“ Wilbrandta, aż do tworów Bocklina i Stucka—cały szereg uosobień Śmierci snuje się przez sztukę współczesną.

Bo coraz częściej pojawia się pytanie, czy ani na chwilę nie wolno człowiekowi zrzucić zasłony Mąji, by spojrzeć na dno rzeczy, przestać się mamić pozorami rzeczywistości, jeno jej samej w oczy zajrzeć? Pytanie to musi sprowadzić myśl ludzką do zaprzeczenia intensywności życia, a tem samem do wyobrażenia sobie Śmierci jako mistrza i kierownika.

Czytałem raz napis, który kazał sobie umieścić po śmierci na grobie jakiś obywatel z Gades: „Nil fui, nil sum, et tu, qui es, lude — bibe — veni...“ (Niczem nie byłem, niczem nie jestem, a ty, który żyjesz jeszcze, baw się, pij, lecz przybądź tu).

Takim to zgorzkniałym pesymizmem tętni pewna część współczesnej twórczości artystycznej. Śmierć—to geniusz zbawczy, ucieczka przed życiem...

Właśnie czytałem dramat o podobnem założeniu. Napisał go Ernst Rosmer (pseudonim) a zatytułował: *Matka Marya* *).

Śmierć, „najukochańszy nieprzyjaciel,“ jest tu pojęty jako wieczny towarzysz czynów ludzkich, ujawniający się wówczas, kiedy zachodzi rozdźwięk między postępowaniem człowieka, a przeznaczoną mu z góry drogą życiową.

Z chwilą, kiedy mieszkaniec nizin wejdzie na wyżyny (problemat z „Dzwonu zatopionego“) — śmierć go czeka; kiedy dusza wyższa, mająca szczytniejsze posłannictwo, okaże się pożądaniem bardziej materyalnem, niżli jej istota — śmierć ją ołbóczy; do życia uprawnionym jest jedynie ten, kto utrzymać potrafi harmonię między przyrodzoną mu naturą człowieczą a doświadczeniem, jakie czerpie z życia.

W dramacie Rosmera jeden tylko człowiek ku życiu ma zwrócone oblicze. Jest to pustelnik o ciele pokurczonem ze starości

*) Ernst Rosmer: *Mutter Maria*, ein Drama. Berlin, 1901.

jak korzonek, słabem jak liść w jesieni. Wiecznie się jednak trzyma drzewa życia i to mocą wewnętrznego ku niemu parcia.

Inne postacie w dramacie — a jest ich dwie — dobrowolnie oddały się na łup śmierci. On — mieszkaniec nizin, pnie się ku niebotycznym skałom, na których wyobraźnia jego wyciosała obraz Matki Boskiej. Biedny: zamiast tego obrazu ujrzał na skale przepysznie się rysującą sylwetę bogunki, ducha tej góry. Jeden uścisk... i skrzydła śmierci nad nim zatrzepotały. A ona? Ją pozbawił ten uścisk pierwiastku duchowego... spadła na nizinę...

Przed furtą kościołka wiejskiego siedzi zgłodniała, zbiedzona... Czuje, że tej nocy zostanie matką, a tu nigdzie wezgłowia, punktu oparcia dla słabego ciała, nigdzie kolebki, ni koszulki dla dziecka. W tej chwili Śmierć bieży jej z pomocą. Daje jej potrzebne dla odziania dziecka przedmioty. A ona nieopatrzna przyjmuje. I tak swe dziecko na pastwę Śmierci wydaje...

Została matką... W duszy jej słodko i jasno. Wizye po niej się snują. Zdaje się jej, że jest jeszcze na górach, jest królową skalną, najpiękniejszą panną górską, w koronie i płaszczu utkanym z mgieł...

Budzi się: martwe dziecię u boku... Mak czuć w powietrzu...

Zostaje sama. Wtedy pożąda wyzwolenia z pęt życia, wtedy o śmierć jakby o wybawienie prosi.

Ona. Droga Śmierci!

Śmierć. Wiesz, kiedyś mię po raz pierwszy ujrzała?

Ona. Wówczas, kiedy mię w niziny strąciłaś...

Śmierć. A po raz wtóry?

Ona. W noc zimową, kiedym dziecię zrodziła.

Śmierć. A dziś po raz trzeci. Oto cię wyswobadzam z mąk życia. Zwierzę ci się z tajemnicy: widziałaś mnie jeszcze wtedy, kiedy cię tam na górze on pocałował...

* *
*

Przed pięciu laty pisał Maurycy Maeterlinck:

„W milczeniu olbrzymieją rzeczy; z niego wyłaniają się z majestatyczną siłą i pełnią w światło życia... Pszczoły pracują w milczeniu, myśl w ciszy, a cnota w ukryciu... Milczenie otacza nas ze wszech stron, jest podstawą naszego życia..."

Tak pisał Maeterlinck przed laty. Tymczasem jednak dokonała się w duszy belgijskiego poety znamienna ewolucya: powrót do rzeczywistości, do życia. Lecz tło, na którem ten przewrót się dokonał, pozostało niezmienione. Jest to dziwne a wielce skomplikowane pomieszanie pierwiastków mistycznych ze zbudowaną na nich rzeczywistością.

Ostatnie jego dzieło zajmuje się życiem pszczół *).

Zapyta kto: dlaczego Maeterlinck, ten zaprzysiężony „symbolista" i „mistyk," nagle opuścił pole swej dotychczasowej pracy? Na to odpowiedzi niema. To tajemnica twórczości samego poety. Stwierdzić tylko możemy następujące fakty: twórczość Maeterlincka od wydania w r. 1889 tomu poezyj „Serres schaudes" i dramatu „Les aveugles" wzmagała się konsekwentnie w jednym kierunku aż do pojawienia się w roku 1894 Alladiny i Pallomidesa. W tej chwili przełom nastąpił w duszy poety. Twórczość jego na polu dramatu, doszedłszy zenitu, zaczęła opadać, wyczerpała się. Późniejsze utwory dramatyczne, „Ariadna i Sinobrody," „Siostra Beatrix," już nie noszą na sobie piętna tej oryginalności i mocy rodnej, jaka cechowała np. Intruza. W Maeterlincku ozwał się filozof-teoretyk. Dwa dzieła, „Le trésor des humbles" i „La sagesse et la destinée" są wyrazem tego kierunku.

Trzeci etap w rozwoju Maeterlincka zaczyna — zdaje się — ostatnie jego dzieło o życiu pszczół. Co teoretyk w sferze pojęć sobie uświadomił, to praktyk chce do życia zastosować.

„La vie des abeilles" jest jednym z najciekawszych przejawów w literaturze. I to głównie ze względu na autora. Bo któż mógł przypuścić, że ten tak daleki od życia rzeczywistego twórca artystyczny wzrok swój skierować potrafi ku problematowi ściśle naukowemu, wymagającemu niezwykle drobiazgowej obserwacyi i cierpliwości badacza? A jednak książka Maeterlincka o pszczołach to wynik długoletnich studyów doświadczalnych nad życiem, zwyczajami i odrębnościami pszczół. Myliłby się jednak, ktoby zechciał przypuścić, że książka ta jest żmudną i, powiedziawszy otwarcie, nudną pracą specyalisty, fachowca. Po nad jej zawartością, przejętą z doświadczenia i badania, wznosi się iście maeterlinckowska budowla, przecudnie uwita tkanka refleksyj, głęboko pomyślanych i w głąb tajemnic przyrody wnikających powiedzeń.

Książka ta nie ma cechy objektywnie, na zimno, po profesorsku pojętego „studyum naukowo-biologicznego." To, co jej uroku dodaje, jest właśnie usiłowanie, zmierzające do wniknięcia po za sferę ścisłego, zewnętrznego badania, do zerwania tajemniczej przesłony, wzbraniającej nam spojrzeć na dno przyrody.

Maeterlinck powiada:

„Kiedy się ul w miejscu jakiemś ulokuje, natychmiast pszczoły nadają kwiatom, powietrzu, promieniom słonecznym odmienny charakter... W szkole pszczelnej uczyć się można tajemniczych przędziw przyrody, poznać nitki rozsnuwające się po jej przestworach, zgłębić niewyczerpane kształtowanie się życia, moralność pracy, a ponadto: pszczoły uczą niewyczerpanej rozkoszy wypoczynku, podkreślają swemi małemi skrzydełkami jakby znakami „ognistymi prawie" nieciełesną rozkosz dziewictwa..."

Osią, około której obraca się myśl Maeterlincka, jest kwestya ducha ula. Bo, że zupełnie odrębny duch, odrębne uwarunkowanie życia i jego przejawów w ulu panuje, to jest pewnikiem niezbitym. Lecz jak się ten duch przejawia? Jakie są jego cechy?

Przypatrzmy się kilku objawom z życia pszczół i to nie codziennym, lecz wyjątkowym a intensywnym. Np. instynkt krwiożerczy. Dwa razy pszczoła mu ulega. Raz ze stanowiska indywidualnego, a drugi ze względu na dobro społeczne. Raz królowa, obejmując władztwo nad państwem pszczelem, dokonywa okrutnego mordu swych rywalek. Przystępuje do każdej—a jest w ulu kilka zapasowych dziewic, kandydatek na tron—i morduje je bez litości. To instynkt samozachowawczy jednostki wybujał w sfery śmierci. A drugi raz śmierć występuje jako objaw masowy. Tu praca uśmierca próżniactwo. Dziewica morduje próżniaczącego trutnia. Pocóż ma darmozjad wyjadać zbiory zimowe? Instynkt pszczoły — pracownicy, pozostającej przez całe życie w bezwzględnem dziewictwie, oburza się na istnienie i pasorzytnictwo rodu męskiego. A więc śmierć mu! I biedne trutnie ulegają strasznemu losowi...

Raz tylko w dziejach ula występuje ród męski na pierwszy plan. I to nie cały. Jeden jedyny przedstawiciel rodu męskiego jest upatrzony na zaszczytne i wielce odpowiedzialne posłannictwo. Hen, pod lazurami, na falujących warstwach powietrza, w cudny dzień wiosenny obiera sobie królowa kochanka. A potem — giń marne plemię! Chwila ta w życiu pszczoły jest najintensywniejszą. Tu bowiem zbiega się śmierć i życie. Kochanek królowej po ślubnym całunku ginie. Zapoczątkowawszy życie tysiąca swych potomków, sam z nieubłaganą koniecznością popada w ramiona śmierci...

Nie chciałbym książki Maeterlincka streszczać. Pragnę tylko zwrócić uwagę na ten wielce charakterystyczny sposób, w jaki poeta zbliżył się do rzeczywistości, na stosunek zachodzący między własną jego duszą, a zewnętrznymi objawami świata.

„W przyrodzie—powiada Maeterlinck—oglądanej z punktu widzenia np. życia pszczół, w jednem słowie zawrzeć możemy te wielkie linie życia, których my mimo większego bez porównania zakresu działania, ani dopatrzeć się, ani zaważyć nie możemy. Tu zaś znajdujemy i ducha i materyę, objawy masowe i indywidualne, rozwój i zastój przeszłość i przyszłość, życie i śmierć, zebrane w miejsce, które ręką ująć i wzrokiem objąć możemy. Tu najskrytsze tajniki przyrody możemy zbadać w przeciągu kilku tygodni, a chcąc dojść przyczyn wypadków w historyi ludzkości, należałoby przeczekać co najmniej trzy pokolenia tj. przynajmniej wiek. Tu się wypowiada najistotniejsza myśl Maeterlincka. Jako przedmiot swych dociekań, obrał życie pszczół, bo je uważa za skondensowanie przejawów wszechświatowego ducha. Kąt patrzenia na człowieka wydał mu się nadto rozległym. Pszczoła, podobnie jak człowiek, niewolnica nieubłaganych prawideł przyrody, wydała mu się odpowiedniejsza do zstępowania na dno tajemnic, jakiemi przyroda osnuła swe zamiary.

Bertold Merwin.

LOSY SZTUKI.

Wystawa obrazów Józefa Pankiewicza, urządzona w Zachęcie, jest prawdziwą u nas rzadkością: po pierwsze dlatego, iż zgromadzając wszystkie prace artysty z ostatnich lat dziesięciu, nie zawiera ani jednej rzeczy słabej, a powtóre — że jest wyraźnym dowodem nieszkodliwości środowiska dla prawdziwego talentu.

Oddawna ustaliło się przekonanie, że mało artystyczna atmosfera Warszawy jest przyczyną marnowania się talentu osiadłych w niej artystów. Tymczasem pokazuje się, że duch silny, kochający sztukę prawdziwie, dla niej samej, a nie pod wpływem frazesów i otoczenia, może się z tej „zabójczej" atmosfery wyosobnić, z „nieodczuwającem" środowiskiem stosunki zerwać — stworzyć sobie świat inny, w ciszy swojej pracowni, pod sklepieniem własnej swej duszy.

Tam go nie dosięgnie zaraza, nie padnie on ofiarą warszawskiej „malaryi," ujdzie czysty, spokojny — i silny.

Takim jest Józef Pankiewicz. Mieszka stale w Warszawie; patrząc zaś na jego obrazy, doznajemy wrażenia, jak gdyby pochodziły z jakiejś najodleglejszej „zagranicy." W istocie są one bardzo dalekie, jak daleką jest dusza artysty od owego środowiska, od miasta, w którem mieszka i tworzy.

Wystawa jest biegnącym wzdłuż ścian salonu łańcuchem rzeczywistych „prac"; łańcuch otwiera maleńki klejnot malarski „Brama na Starem Mieście," a zamyka drugi, jeszcze piękniejszy, „Barbarka." „Brama na St. Mieście," jeden z najwcześniejszych obrazów Pankiewicza, jest poematem spostrzeżeń malarskich; są w nim złożone już bardzo wyraźnie owe pierwiastki, panujące w talencie artysty: pietyzm, spokój i siła.

Szereg obrazów impresyonistycznych, którymi Pankiewicz wspólnie z Podkowińskim wstrząsnął w swoim czasie malarstwo krajowe, przekonywa nas raz jeszcze o wielkim spokoju, z jakim artysta przystępuje

*) Maurice Maeterlinck: *La vie des abeilles.* Paris. Bibliothèque Charpentier.

do każdej pracy. W obrazach tych znać, że artysta nie lubował się bez pamięci w nowym kierunku, nie nurzał się bezprzytomnie w orgiach grających barw, lecz rozważnie, z surowością mędrca *badał* strony dodatnie impresyonizmu. Zbadawszy przedmiot, o ile go jako malarza zajmował, zaczerpnąwszy z niego pożytek, oddał się studyom innego rodzaju: i znów mamy cały szereg pracowitych, mądrych, nie malowanych, ale wprost z namiętnością uczonego naturze wydzieranych momentów w „szarym pejzażu,“ kilkakrotnych studyach „stawu o zmroku,“ „śpiących łabędzi“ itp. Pankiewicz doszedł w nich wszystkich do wielkiej subtelności tonu, do ogromnie silnego ujęcia prawdy przez jakieś niewypowiedziane wprost stopienie się niemal twórcy z istotą badanego krajobrazu.

Lecz nietylko przyrodę bada on i rozumie: bo oto szereg portretów-poematów świadczy o poznaniu człowieka i ujęciu jego duszy. Każdy portret Pankiewicza to w układzie, harmonii, tonie cudowne kompozycye: niema tam wahań, niedomówień, nieporozumień, wzmocnień i osłabień siły, która je stworzyła; są one jak wszystkie obrazy artysty malowane spokojnie, równo, jednakowo silnie, rozumnie i niesłychanie *świadomie*.

Wystawę kończą przepyszne, prawdziwie artystyczne akwaforty i klejnocik — „Barbarka“: jest to poprostu studym statuetki na tle okna w zmroku; statuetka oświetlona jest przez płomień świecy, dla nas widny tylko przez odbicie w szybie. Pankiewicz z tego okrawka natury stworzył poemat światła, które wprost drga, wibruje w mrocznych półtonach, nasyca cały obrazek, chwiejąc się, oblewa łagodnym blaskiem główkę „Barbarki,“ zdającej się w cichem objęciu słabego światła żyć i uśmiechać.

Pankiewicz jest przedewszystkiem i tylko *malarzem*, jednym z tych niewielu, którzy z jasnem czołem mogą się podpisać: „artysta-malarz“; stwarza poematy tonów, koloru, harmonii układu, dopatrzonych inteligentnem okiem artysty w naturze; wszelkie zabarwienie literackie jest dziełom jego najzupełniej obce. Jako taki, w sztuce naszej jest bardzo odosobniony i bardzo talentem swym silny.

Nie powiodło się artystkom naszym urządzenie „pokoju stylowego“ na wystawie Salonu Krywulta. Przedewszystkiem pokój ten nie jest wcale stylowy; aby na to miano zasłużyć, powinien być albo utrzymanym ściśle w jakimś rzeczywistym stylu danej epoki, albo też w którymś z modnych dzisiaj „sposobów,“ wynikłych z motywów ludowych, lub innych odpowiednio przestylizowanych; tymczasem nie widzimy ani jednego, ani drugiego; „to“ bowiem, co ów pokój naszych artystek wypełnia, jest jedynie popisem technicznego obejścia się z robotami na drzewie, skórze, płótnie, gobelinie, szkle itd., mniej lub więcej umiejętnie wykonanemi.

Garniturki mebli są zlepkiem różnych ech, wszystkie malowidła roślin, kwiatów, ptaków itp. są wykonane w sposób realistyczny, niesmacznie winietkowy.

Najlepiej stosunkowo wyszły bronzy p. Łopieńskiej w postaci kandelabru, który, chociaż przyciężki, stanowi przecież jedyny przedmiot rzeczywiście dociągnięty do t. zw. nowego stylu; reszta, jak panneaux p. Poświkowej z przeznaczeniem silnie dekoracyjnem a traktowaniem niezdecydowanie realistycznem, jak okropnie nieładne łabędzie p. Kanigowskiej i jej główka fantazyjna już nietylko z dekoracyą, ale ze sztuką i pokojem stylowym niemająca wielkiego związku, jak niewiadomo skąd i dlaczego biorący się gobelin z fragmentem „Fryny“ Siemiradzkiego w renesansowem obramowaniu, jak niewypowiedzianie banalny hiacynt różowy w brzydkiej bibułce — wszystko to robi wrażenie jakiegoś biednego stadka, z niewiadomych przyczyn spędzonego do ciasnej salki, zawieszonej brzydkiem, nieestetycznem obiciem, odgrodzonej niesmaczną, z jaskrawym szlakiem portyerą i zatytułowanego: „Stylowe urządzenie pokoju.“

Nie przesądzam wartości technicznej owych wypalań, haftów, werniksowań, wytłaczań itd.; zapewne są to wszystko rzeczy w swoim rodzaju bardzo sumienne i dobre, może przedmiociki te są doskonałe w swoim gatunku i wyrobie, lecz trzeba przyznać, że nie są oryginalne, ani piękne, ani „neostylowe.“ Obficie rozłożone „Chimery,“ cytata z „Wesela,“ liczne „paony“ i ich pióra nie uratują, niestety, położenia.

Zawiodła również oczekiwana wystawa kolorowych akwafort artystów francuskich, które po przepysznych autolitografiach Badeńczyków wydają się dziwnie niedbałe i bezduszne; jedynie pejzaże porankowe Simonetta przyciągają do siebie na dłużej.

W Salonie Krywulta gości również malarz czeski, J. Uprka. Z mnóstwa obrazów, wypełniających całą dużą salę, wyróżnia się największem dociągnięciem koloru i nastroju tryptyk „Zdrowaś Marya“; jest tam dużo jakiejś powagi prostej, serdecznej, jest ów lud mirny z pod lip, jak go opisuje Zeyer; jest najmniej tej dziwnie pstrej szarzyzny, która w innych obrazach Uprki razi ogromnie. Motywy do wszystkich dzieł wzięte są z życia ludu czeskiego: najlepsze są te, które z natury rzeczy powinny być szare, ubogie, jak „Jesień,“ „Winnica,“ „Zaduszki,“ „Pejzaże zimowe“ — wszędzie, gdzie miało być słońce, blask, olśnienie oczu, do czego artysta wyraźnie dążył, jest dziwnie szara pstrocizna, co się najsilniej zaznacza na powierzchniach białych, jak czepce wieśniaczek. Gdy się ma jeszcze w pamięci przedziwnie piękne utwory Pankiewicza, Uprka wydaje się malarzem nerwowym, fanatycznie przywiązanym do swej ulubionej formy — niedomówionym wielokrotnie, roztrwaniającym się bezlitośnie. Przy silnym pociągu do symfonii kolorystycznej brak mu spokoju i siły, tego opanowania formy, energicznego i estetycznego ujęcia przedmiotu, jakie w wysokim stopniu posiada dążący nieraz do tych samych celów, a znany nam z tejże wystawy Krywulta, Jan Toorop.

Sytuacyę rzeźby ratuje St. Ostrowski, wystawiając doskonały portret Feliksa Jasieńskiego. Po za tem oddawna do Salonu Krywulta nic nie przybyło; w Zachęcie również zastój w rzeźbie zupełny.

Antoni Gawiński.

Odczyty popularne, lekarskie.

Każdego, kto uważnie przyjrzy się programowi odczytów tegorocznych, uderzy nadzwyczajna przewaga tematów lekarskich. Gdyby tak dobrze policzyć, to pewno stosunek wypadłby przynajmniej jeden na dziesięć: kilka razy w tygodniu odczyty na posiedzeniach Towarzystwa Hygienicznego, serya odczytów „o hartowaniu,“ urządzona przez to Towarzystwo, odczyty o bakteryach, ospie, szkarlatynie, odrze, gruźlicy itd. itd., serya odczytów o ratownictwie, urządzona staraniem Pogotowia Ratunkowego, nawet wśród odczytów na Osady Rolne, rozpanoszyła się medycyna („Suggestya i hypnotyzm“ i inne). Jest to objaw znamienny i to podwójnie znamienny. Przedewszystkiem jasnem jest, że medycyna współczesna zerwała już z dawną tradycyą otaczania się mgłą tajemniczości i przemawiania do ludu z trójnoga: dzisiaj lekarze zdają sobie dobrze z tego sprawę, że nauczanie publiczności o istotach chorób nietylko nie zaszkodzi im w oczach tej publiczności, lecz przeciwnie, może stać się w ich działalności pomocnem. Sprawa ta jednak posiada także stronę odwrotną. Ażeby odczyty mogły przynieść pożytek, tematy powiny być odpowiednio wybrane i opracowane zwięźle i jasno: rozwałkowywanie odczytu o bakteryach na szereg wieczorów, wdawanie się w szczegółowy opis postaci pasorzytów, pokazywanie ich kultur lub streszczanie pojedynczych rozdziałów z patologii chorób zakaźnych, uważamy za pracę jałową i bezcelową. I jeszcze jedno. Wiele odczytów w Towarzystwie Hygienicznem, wiele dyskusyj nad tymi odczytami robi wrażenie, jakoby wynikały one nie z istotnej potrzeby rzeczy, lecz z perspektywy uwiecznienia w *Kuryerku*, który je streści nazajutrz z galanteryą godną lepszej sprawy.

s.

SPRAWY EKONOMICZNE

Konwencya towarzystw ubezpieczeń.

Niedawno rozbiegła się alarmująca wieść, że wszystkie towarzystwa ubezpieczeń od ognia zerwały z sobą umowę, a raczej zawiązały syndykat, ktory zupełnie uzależnia i oddaje na pastwę wyzysku ogół ubezpieczających się. Wiadomość ta wywołała u nas dążność do przeciwdziałania, a za jeden ze środków obrony uznano stworzenie towarzystw wzajemnych ubezpieczeń. Otóż ten właśnie środek wywołał niepokój śród towarzystw związanych w syndykat. Celem więc uspokojenia opinii publicznej i uśpienia wszelkich zarządzeń, mających na względzie interesy ogółu ubezpieczających się, postanowiono wszelkimi sposobami przedstawiać zadanie syndykatu w świetle zupełnie odmiennem niż dotąd widzi je publiczność. W Warszawie jednym z takich żarliwych obrońców związku jest p. Grendyszyński, przedstawiciel Towarzystwa ubezpieczeń, który w poniedziałek ubiegły wystąpił z osobnym odczytem w sekcyi handlowej. Obronę tę, jako wielce charakterystyczną i zarazem stanowiącą taran przeciwko szańcom ogółu ubezpieczających się, podajemy w streszczeniu.

W miarę wzrostu liczby towarzystw wzmagało się także współzawodnictwo, którego objawem było zniżanie premij. W rezultacie towarzystwa stare, zasobniejsze przetrwały przesilenie, słabsze zaczęły upadać i likwidować swe interesy. Nastąpiła refleksya, a z niej zrodziła się myśl przyjęcia taryfy wspólnej, czyli ograniczenie wolnej konkurencyi na tym punkcie. Dla urzeczywistnienia tych środków utworzono w Petersburgu biuro centralne, które na mocy danych, dostarczonych przez towarzystwa, czyni obliczenie i ustanawia skalę ogólną taryfy. Co pewien czas dokonywa rewizyi taryfy. Ile razy się okaże, że w danej miejscowości taryfa jest za wysoka lub za nizka, wtedy na podstawie materyału statystycznego, dostarczonego przez wszystkie towarzystwa, biuro centralne opracowywa i ustala normę.

Konwencya ta istnieje od r. 1877. Towarzystwa, zdaniem obrońcy, są bardzo ostrożne i trudne do podwyższania premij. Wprowadzono rygor i kary za przekroczenie normy taryfowej. Bardzo często jednak musiano omijać przepisy, bo nie wszystkie towarzystwa przystąpiły szczerze do konwencyi, przytem agenci z własnej prowizyi robili ustępstwa, ażeby zyskać więcej ubezpieczających się; podawali także mylne informacye. Otwierało to pole do gwałcenia konwencyi. Musiano utworzyć centralne biuro, które sprawdzało, czy taryfa obliczana

jest należycie. Za pogwałcenie umowy nakładano wysokie kary.

Węzły towarzystw zacieśniły się z chwilą wprowadzenia instytucyj reasekuracyjnych. Przez długi czas reasekuracyę oddawano w państwie rosyjskiem organizacyom zagranicznym. Dopiero przed kilku laty, z inicyatywy rządu, postanowiono stworzyć instytucyę wewnętrzną, która jednak zaczęła działać w latach niepomyślnych, skutkiem czego były stałe straty.

Z chwilą kiedy solidarność towarzystw przybrała charakter monopolistyczny, zrodziły się obawy, czy nie będą nadmiernie podwyższane premia. P. Grendyszyński usiłuje wykazać bezpodstawność tych obaw: Regulatorem wewnętrznym jest wspólne zobowiązanie towarzystw, wewnętrznym zaś ta właściwość, że ponieważ ubezpieczenie nie jest artykułem niezbędnej potrzeby, więc klienci kurczą się, podają mniejsze sumy lub zupełnie przestają się ubezpieczać. Dla tego właśnie towarzystwa trudno godzą się na podwyżki. Drugim regulatorem jest rząd: Przy ministeryum spraw wewnętrznych istnieje komitet asekuracyjny z szerokiemi atrybucyami. W razie odstępstwa od ustawy ma on prawo interwencyi. Gorący rzecznik tej instytucyi zapewnia, że one wobec czujności rządu, są jednakowo wypłacalne. Jeszcze jednym regulatorem ma być jawność tego związku. Wszelkie jego postanowienia komunikują się wszystkim agentom w państwie, których jest 10 tysięcy.

W ostatnich czasach interesy towarzystw pogorszyły się znacznie, pomimo wielokrotnych podwyżek taryf. W okresie 1877 do 1900 r. zagraniczne towarzystwa reasekuracyjne na obrotach w Rosyi poniosły przeszło 21 milionów rb. strat. Towarzystwa zaś krajowe otrzymały 40 milionów, a zapłaciły 50.

Taki stan rzeczy wywołał środki zaradcze. Postanowiono przedewszystkiem wprowadzić oszczędności w administracyi, a więc zmienić sposób wynagradzania agentów. Dotychczas mieli oni interes osobisty na względzie, przechodzili z towarzystwa do towarzystwa, porozumiewali się i odstępowali sobie naprzemian klientelę. Stąd wynikło przechodzenie ubezpieczających się z jednej instytucyi do drugiej.

To właśnie zmusiło towarzystwa do zawarcia umowy, na mocy której w razie przechodzenia klienteli towarzystwa wzajemnie pokrywają swoje straty.

Innym warunkiem konwencyi jest zmuszenie kupców przy ubezpieczaniu towarów do przyjęcia na własne ryzyko pewnej części strat, które kupców drobniejszych obarczają w stosunku 25%, gdy przeciwnie, więksi przyjmują na siebie ryzyko w mniejszym stopniu. Warunek ten, nazwany nawet przez samego obrońcę konwencyi prawem drakońskiem, naraża ogół ubezpieczających się tej kategoryi na zupełną ruinę w razie pożaru.

Cała ta niewinna konwencya towarzystw, ze swoją *jawną* działalnością, niestety, nie wszystko ujawnia przez usta swych rzeczników. Są tu obliczenia ukryte lub bardzo dla oka łudzkiego naciągane, które nie mają nic wspólnego ani z dobrem klienteli, ani z koniecznością naprawy interesów zachwianych. Towarzystwa np. z całą dowolnością posługują się materyałem statystycznym, na jego podstawie podnoszą premia dwa lub nawet trzy razy rocznie, gdy tymczasem w rzeczywistości z materyału takiego można wnioski trafne wyprowadzić i obliczenia sprawiedliwe poczynić tylko wtedy, gdy się bierze pod uwagę okres dłuższy. Biuro centralne podobno nietylko zatwierdza podwyższanie, ale i konieczną zniżkę taryfy zbyt wysokiej. Tymczasem fakty wykazują tylko nieustanną zwyżkę. I to jest pewna, że nie wszystkie swoje zarządzenia towarzystwa zjednoczone komunikują dziesięciotysięcznej armii agentów.

Instytucye ubezpieczeń od ognia narzekają, że w ostatniem pięcioleciu poniosły straty znaczne. Istotnie, w tych czasach klęski, wynikające z pożarów, były olbrzymie. Ale w takim razie dlaczego towarzystwa, rozporządzające wielkimi środkami i stosunkami, rozgałęzione w całem państwie, nie postarają się pośrednio o inne organizacye, któreby przeciwdziałały klęskom ogniowym? Wszak dużo się mówi w sezonach pożarów o środkach zaradczych, lecz nic się nie robi. A jednak takie środki ochronne byłyby działalnością nie dobroczynną, lecz ekonomiczną, bardzo korzystną i pożądaną. Postaramy się to wykazać w artykule osobnym.

Z.

KŁOSKI.

Od kilku tygodni opinię publiczną w Warszawie niepokoi sprawa, która napozór zdaje się błahą i śmieszną, rzuca jednak jaskrawe światło na pewne stosunki. Ks. biskup Niedziałkowski napisał studyum literackie, mniejsza o to, złe czy dobre, mądre czy głupie, dość, że rzecz czysto literacką; ks. Charszewski zaś ośmielił się dzieło to skrytykować. Urażony autor odpowiada nie obaleniem zarzutów krytyka, lecz paragrafem jakiejś ustawy, która opiewa, że księdzu nie wolno poddawać rozstrząsaniu rozporządzeń infułata. Ks. Kowalski w *Niwie Polskiej* wykazuje wyraźnie, iż paragraf ten możnaby tu zastosować, gdyby ks. Niedziałkowski był bezpośrednim przełożonym ks. Charszewskiego, w danym zaś wypadku ten ostatni należy do innej dyecezyi. Czyżby więc z dostojeństwem biskupiem połączona była nieomylność literacka? a może katedrom biskupim przysługuje pod tym względem jakiś z czasów średniowiecznych zabłąkany imunitet?

I pomyśleć, że żyjemy w w. XX, nie zaś w złotym okresie scholastycyzmu. Czasy zmieniają się, mówi przysłowie, lecz głupota pozostaje zawsze ta sama, wieczna i niepożyta.

h.

Zaledwie przebrzmiało echo głośnych a wymownych podpisami najpoważnieszych ludzi w Galicyi protestów przeciwko ohydnemu czynowi sprowadzania witraży niemieckich do restaurowanej obecnie katedry na Wawelu, aliście przkonano się, że nie na tem koniec czcigodnej gospodarce komitetu. Okazuje się obecnie, iż dopuszczano się niesłychanego wandalizmu: niszczono freski jagiellońskie, skrobano patynę, malowano rzeźby, usuwano ołtarze itd. A kiedy podniesiono krzyk, zwalono całą winę na choregо obecnie kard. Puzynę, który do sprawek komitetu zupełnie się nie mieszał. Wiele widzieliśmy barbarzyństw i bezecności, lecz nic podobnego jeszcześmy nie oglądali. I to wszystko dzieje się w Krakowie, słynnym ze swego przywiązania do tradycyj średniowiecznych, w tej ostoi kultu przeszłości! Tak to u nas „ludzie zaufania“ wywiązują się z włożonych na nich obowiązków obywatelskich. I ciekawą rzeczą byłoby wiedzieć, czy to tylko bezdenna lekkomyślność i niedbalstwo, czy też może troskliwa piecza o własne interesy.

O prawdę.

Przyczynek do „Listów galicyjskich.“

Pewną część korespondencyi galicyjskiej, zamieszczonej w Nr. 5 *Prawdy*, poświęcono sprawie odczytu jednego z czynnych członków lwowskiego Towarzystwa politechnicznego, p. Stefana Ossowskiego, asystenta politechniki lwowskiej.

Ze względu na samą istotę odczytu, a następnie na tak poważne zainteresowanie się nim szerokich kół społeczeństwa tutejszego, jakto sam sprawozdawca przyznaje, należałoby dać mu trochę więcej miejsca, skoro wogóle o tem się wspomniało; wtedy bowiem i czytelnicy wyrobiliby sobie zdanie, może sprzeczne ze zdaniem autora „Listów galicyjskich.“ Chcąc do tego przysłużyć się, podaję treść—prędzej przewodnią myśl odczytu, który nosił tytuł: „Młodzież i szkoła politechniczna wobec przyszłości ekonomicznej społeczeństwa polskiego“ i był ściśle co do swej treści związany z tematem. We wstępie prelegent rzeczywiście zaznaczył, że od lat 25 Galicya jest ciągle pod znakiem wielkiego przemysłu, pomimo to wielkiego przemysłu niema; natomiast małe przedsiebiorstwa przemysłowe istnieją z powodzeniem, a więc takie, które nie wymagają kierownictwa inżenierskiego. Fakt ten wskazuje, że pewna jałowość dotychczasowych znacznych usiłowań wynikała z braku odpowiednich sił, a więc z pominięcia *jednego* z ważnych czynników, mianowicie kształcenia wyższej inteligencyi przemysłowo - technicznej i przemysłowo-handlowej.

Prelegent twierdził, że jeżeli się chce mieć *na przyszłość* mocne podstawy do rozwijania i utrwalania wielkiego przemysłu *polskiego*, należy *równolegle* z wysiłkami tworzenia go, dbać o rozwój silnego stanu przemysłowo-technicznego i przemysłowo handlowego *polskiego*, zwłaszcza że wobec ruchu anty-niemieckiego z ostatnich czasów społeczeństwo nie ścierpi obcych kierowników.

Tak więc prelegent nie twierdził, by należało *najpierw*, nie dbając o teraźniejszość, wytworzyć coś w rodzaju dobrze wyćwiczonej armii, a dopiero *następnie* wysłać ją na zdobycie przemysłu.

Podobny pogląd byłby oryginalny, jak twierdzi autor „Listów galicyjskich,“ ale chyba swoją naiwnością, szczęściem nie obciąża on prelegenta, który w dalszym ciągu twierdził, że jeśli chce się mieć przyszłość przed sobą, należy odrazu zająć się pracą u podstaw, a więc wychowaniem młodzieży, przedewszystkiem gimnazyalnej, a następnie politechnicznej. Przystąpiwszy w ten sposób do właściwego tematu, prelegent opisywał szeroko biurokratyczno-prawny kierunek wychowania młodzieży w szkołach średnich a następnie wyższych; poruszył dalej zasadnicze wady wynikające z podobnego systemu pedagogii—z jednej strony, tudzież z drugiej — zupełny brak przygotowania młodzieży politechnicznej do oczekującej ją roli w społeczeństwie.

Następnie poruszył wszystkie braki szkoły politechnicznej lwowskiej, jedynej w kraju, i przyszedł do wniosku, że do wychowania odpowiedniego stanu przemysłowo - handlowego technicznego jest przedewszystkiem powołana szkoła politechniczna. Że jednakże w interesie rządu centralnego, wobec uprzemysłowienia innych krajów koronnych, nie leży uprzemysłowienie Galicyi jako rynku zbytu — nie leży zatem i odpowiednie uposażenie szkoły w kierunku rozwoju wydziałów przemysłowych. *Trzeba z góry zrezygnować z pomocy rządu i chwycić się środków samopomocy.*

Wreszcie na zakończenie prelegent rzucił kilka projektów w celu wyjaśnienia jak on sobie wyobraża środki samopomocy.

Korespondent *Prawdy* nadmienia następnie, że odczyt wywołał szerokie rozprawy, które zajęły parę tygodniowych posiedzeń, co samo już jest dowodem, że nie mógł on nosić cechy naiwności, o co go sprawozdawca posądza na podstawie niewypowiedzianych przez prelegenta poglądów.

Odczyt istotnie nie rozwiązał kwestyi praktycznej podniesienia wielkiego przemysłu, jak twierdzi sprawozdawca, bowiem p. Ostrowski, jak się okazuje z treści odczytu, zupełnie nie miał zamiaru rozwiązania kwestyi przemysłu dziś, chciał tylko zwrócić uwagę społeczeństwa i sfer powołanych na dwa wysoce zaniedbane pola: *młodzież i szkołę politechniczną.*

Tyle co do odczytu. Trzeba jednak wyjaśnić skąd mogło powstać podobne z gruntu fałszywe przedstawienie rzeczy, którego ofiarą w zupełnie dobrej wierze padł i autor „Listów

galicyjskich." Dzienniki tutejsze, chętne do sprowadzania wody na młyn własny, jęły się wstępu odczytu, przekręciły go każdy wedle własnych celów politycznych i zrobiły osią całego odczytu. A więc *Kuryer Lwowski*, współzawodnik *Słowa Polskiego*, wydał wstęp konieczny do rozmiarów całego odczytu i bardzo pochlebnie o nim wyraził się. *Słowo Polskie* zaś umieściło wręcz fałszywe sprawozdanie i okaleczyło myśl przewodnią odczytu, jasno w nim wyrażoną, a następnie w naczelnym artykule w sposób ujawniający bezsilną złość wyszydzał nie odczyt lecz prelegenta. Ten zaś nie chcąc, i słusznie, sprowadzać sprawy społeczno-naukowej do poziomu dzienników brukowych, nie wdawał się w żadne polemiki i poprzestał tylko na ogłoszeniu listu w *Kuryerze Lwowskim*, w którym stanowczo oświadczył, że *Słowo Polskie* zamieściło wręcz fałszywe sprawozdanie. Jeden z dzienników, który na podstawie niedość dokładnego sprawozdania umieścił artykuł, co do swej treści identyczny z artykułem *Prawdy*, otrzymawszy następnie wyjaśnienie od jednego z obecnych na odczycie, umieścił je z całą gotowością.

Wreszcie końcowy ustęp z „Listów galicyjskich: „Dopóki nie będziemy mieli w Galicyi rozwiniętego przemysłu wraz z silnym i inteligentnym stanem przemysłowym, zamiast liberałów w guście europejskim, będziemy mieli stańczyków, posługujących się frazeologią demokratyczną w rodzaju panów Rutowskich, Lewickich, Romanowiczów itp.," wygląda tak, jakby go sprawozdawca przytoczył w celu poniczenia prelegenta. Tymczasem ustęp ten właśnie jest wprost wyjęty z ust jego, był tylko lepiej uzasadniony, bo z całą znajomością stosunków miejscowych. On to zrobił ze *Słowa Polskiego* śmiertelnego wroga prelegenta. Jeżeli się doda, że na czele *Słowa Polskiego* stoi właśnie pan Rutowski, jest jego moralnym kierownikiem — sprawa staje się zupełnie jasną. Jest to więc jeden z wielu faktów, rzucających jaskrawe światło na demokracyę galicyjską w rodzaju panów z powyższego pisma.

Czesław Januszewski.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Ogłoszono następujące rozporządzenie ministra oświaty: „Dnia 22 lutego w podwórzu uniwersytetu w Moskwie, zgromadzili się studenci uniwersytetu, a wśród nich zauważono również sporo kobiet i słuchaczy innych wyższych zakładów naukowych. Uważając za rzecz niedogodną zatrzymywanie studentów w podwórzu, rektor uniwersytetu pozwolił im wejść do sali aktowej i następnie rozejść się do domów.

400 z górą osób przedostało się z sali aktowej do innych sal uniwersyteckich, przyczem wyłamano drzwi zewnętrzne i 7 innych drzwi w sali aktowej i audytoryach. Część zgromadzonych udała się na trzecie piętro, gdzie wyłamała drzwi prowadzące do mieszkania kierownika seminaryum prawniczego, prywat-docenta Czystiakowa i zmusiwszy go do opuszczenia mieszkania, zniszczyła tam wszystkie zapasy śpiżarniane, wyłamała drzwi do szafy, oraz zepsuła wiele przedmiotów, będących własnością Czystiakowa.

Przez cały ten czas manifestanci wciąż hałasowali i śpiewali pieśni; z wielu okien, wychodzących na ulicę Nikicką wywieszono czerwone chorągwie.

Pomimo niejednokrotnego wzywania do natychmiastowego opuszczenia gmachu uniwersytetu, zebrani, z bardzo nielicznymi wyjątkami, nie rozchodzili się wcale, zapowiadając, że pozostaną tam na noc.

Z powodu zupełnej niemożności przywrócenia porządku własnymi środkami, zwrócono się o pomoc do władz cywilnych, z rozporządzenia których około godz. 12-ej w nocy do gmachu uniwersytetu wprowadzono policyę i wojsko. Wszystkich znajdujących się w uniwersytecie, bez szczególnego z ich strony oporu, aresztowano i odprowadzono do ujeżdżalni.

Po obejrzeniu opróżnionych z manifestantów zabudowań uniwersyteckich, oprócz wymienionych wyżej uszkodzeń, okazały się połamanemi: ławy, stoły, krzesła i katedry, a znajdujące się w nich papiery zniszczone. Na podłodze znaleziono: pookręcane bibułą gwichty, noże fińskie, długą pałkę i wyłamane z krat, okalających uniwersytet, żelazne pręty.

Podczas rewizyi, dokonanej u niektórych z aresztowanych, odebrano im noże fińskie, kastety, rewolwery. W wielu miejscach urządzono barykady.

Wszystko powyżej przytoczone przekonywa, że uczestniczący w manifestacyach studenci uważają uniwersytet za miejsce przeznaczone nie na spokojne zajęcia naukowe, lecz na przeciwne prawu zgromadzenia, pozwalają sobie na czynności, właściwe nie przyzwoitej i dobrze wychowanej młodzieży, lecz niespokojnemu i wyuzdanemu tłumowi, zapominającemu o wszelkiem poszanowaniu porządku i cudzej własności, dlatego też jestem zdania, że dla takiej młodzieży nie powinno być miejsca w wyższych zakładach naukowych.

Skutkiem tego zalecam kuratorowi okręgu naukowego moskiewskiego, aby nakazał władzom Cesarskiego uniwersytetu moskiewskiego, niezależnie od kar, jakim mogą uledz, na podstawie przepisów ogólnych, natychmiast wykreślić z listy studentów wszystkich aresztowanych w nocy 23 lutego w gmachu uniwersytetu, zastosowawszy te same środki i do słuchaczów innych, znajdujących się pod moim zarządem zakładów naukowych, których aresztowano jednocześnie ze studentami uniwersytetu."

W rozkazie do policyi m. Moskwy ogłoszono: „Za spełnione 22 lutego wykroczenie przeciw rozporządzeniu z dnia 30 marca r. z. i jego uzupełnieniu z d. 5 stycznia r. b., skazani są: na trzy miesiące aresztu: 7 studentów uniwersytetu moskiewskiego, 10 studentów, szkoły technicznej, 2 studentów szkoły inżenierskiej, 1 student instytutu gospodarstwa wiejskiego, 1 student uniwersytetu petersburskiego, 20 studentów instytutu miernictwa, 3 uczniów szkoły malarstwa, 3 uczniów szkoły filharmonijnej, 1 uczeń konserwatoryum muzycznego, 1 słuchaczka kursów akuszeryjnych, 2 słuchaczki kursów pedagogicznych, 1 uczennica szkoły dentystycznej, 1 słuchaczka instytutu położniczego, tudzież dwóch szlachciców i żona agronoma; na dwa miesiące aresztu: 97 studentów uniwersytetu moskiewskiego; na miesiąc aresztu: 55 osób rozmaitego stanu; na dwa tygodnie aresztu: 7 ucz. szkoły Strogonowa; na tydzień aresztu 2 osoby różnego stanu. Za przekroczenie tychże rozporządzeń, spełnione w d. 23 z. m., skazano na areszt trzymiesięczny 1 urzędnika gubernialnego zarządu ziemskiego, na areszt miesięczny: 8 studentów uniwersytetu moskiewskiego, 5 studentów szkoły inżenierskiej i 5 osób rozmaitego stanu."

KRONIKA.

Odezwa. Towarzystwo kolonij letnich i w tym roku, jak w poprzednich, odwołuje się do ofiarności ogółu w celu zapewnienia dzieciom najuboższej ludności Warszawy choć krótkiego pobytu na świeżem powietrzu wiejskiem.

Towarzystwo, które w roku ubiegłym zamknęło dwudziestoletni okres chlubnej swej działalności, ostatniego lata mogło już wysłać na wieś 3,000 dzieci. Piękny to rezultat, gdy się wie, jak skromny był początek i jak trudną jest walka dotychczas; lecz jakaż to kropla wobec tego oceanu dziatwy bladej, nędznej, chorej z braku powietrza i pożywienia zdrowego, od której roją się ulice i zaułki miasta. A jednak w naszem ręku leży możność wyprowadzenia daleko większej ilości tych biednych, małych istotek na światło, na swobodę szerokich pól, na żywiczne oddechy lasów — z ponurych, słońca pozbawionych, wilgotnych i zaduszanych suteren. Pomóżmy szczerze tym, którzy za nas wszystkich podjęli się spełnienia obowiązku względem tej dziatwy, a dziś odwołują się do naszego serca i pamięci — dajmy, co kto może, lecz dajmy wszyscy. Jeśli niepodobna wysłać na wieś wszystkich dzieci, znajdujących się w mieście, niech jadą przynajmniej te, które są już zapisane. Ofiary nadsyłać można do biura Tow. kolonij letnich (Hortensya 1).

Rozporządzenia urzędowe. Gazety kijowskie ogłosiły następujące rozporządzenie: „Generał-gubernator kijowski, wołyński i podolski, dowodzący wojskami kijowskiego okręgu wojennego, generał-adjutant Dragomirow, uprzedza mieszkańców Kijowa, ażeby wszelkimi sposobami unikali przechodzenia lub przejeżdżania, a zwłaszcza zatrzymywania się w tych punktach miasta, gdzie można spodziewać się zaburzeń ulicznych, ponieważ znajdujący się na ulicach, dzięki tylko próżnej ciekawości, w chwili tłumienia przez siłę zbrojną zaburzeń ulicznych, narazić się mogą na wszelkie następstwa, gdyż zaaresztowani w tłumie, chociażby nie brali czynnego udziału w demonstracyi, na mocy obowiązujących przepisów z dnia 9 marca r. z., ulegną w drodze administracyjnej aresztowi do trzech miesięcy lub karze pieniężnej do 500 rubli."

Dla Konopnickiej. *Wędrowiec* ogłasza: „Obecni w Warszawie poeci polscy, pragnąc uczcić 25-lecie pracy Maryi Konopnickiej, postanowili wydać księgę zbiorową, jej poświęconą, a zawierającą wyłącznie utwory poetyckie. Wydawnictwa podejmuje się redakcya *Wędrowca*, która prosi wszystkich poetów polskich o nadsyłanie rękopisów pod jej adresem."

Nagrody. Komitet konkursowy fundacyi Kochmana we Lwowie przyznał nagrody za działalność literacką: 2,000 koron Piotrowi Chmielowskiemu i 1,000 koron Maryi Konopnickiej.

„Legendy." Sąd wyższy w Krakowie zatwierdził konfiskatę „Legend" A. Niemojewskiego.

Ruch kobiecy. Dr. Stefania Suszczyńska powołana została przez rząd kantonu Vaud w Szwajcaryi na asystentkę w tamtejszym zakładzie dla obłąkanych.

— Dr. Melania Lipińska otrzymała od paryskiej Akademii lekarskiej nagrodę im. W. Hugo, 1000 fr., za pracę z dziedziny historyi medycyny.

Szkoły. Uczniom 7 klas realnych rządowych pozwolono sposobem próby w ciągu lat 5 wstępować do Cesarskiej Akademii wojskowo-medycznej, z warunkiem, że przy egzaminie wstępnym lub w ciągu roku pierwszego zdadzą egzamin z łaciny w zakresie 4 klas gimnazyalnych.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że zamiast stopni, które obecnie są dawane uczniom w szkołach, mają być rozsyłane blankiety, na których z jednej strony rodzice będą obowiązani wyszczególnić wady i zdolności, a z drugiej — nauczyciele robić uwagi o postępach ucznia. Władza szkolna na zasadzie tych blankietów będzie oceniać zdolności swych wychowańców, ich pilność, charakter, stan zdrowia, zamiłowanie do pewnych przedmiotów itd.

Egzaminy. Prośby o dopuszczenie do egzaminów dojrzałości w gimnazyach i progimnazyach męskich i ostatecznych w szkołach realnych powinny być wniesione przed d. 14 kwietnia, o dopuszczenie zaś do egzaminów ze znajomości kursu którejkolwiek klasy gimnazyów męskich i szkół realnych oraz gimnazyów żeńskich — przed d. 23 kwietnia. Prośby o dopuszczenie do egzaminów w maju, jednocześnie z uczącymi się w szkołach, nie będą przyjmowane wcale przez okrąg naukowy, ponieważ sprawa ta należy wyłącznie do rad pedagogicznych. Wszelkie podania przysyłane pocztą pozostaną bez skutku.

Dla kobiet. Postanowiono starać się o założenie wzorowej szkoły handlowej żeńskiej, z pensyonatem, przy gminie ewangielickiej w Warszawie.

— W ministeryum oświaty powstał projekt wprowadzenia w gimnazyach żeńskich wykładów gospodarstwa domowego, jako przedmiotu obowiązkowego. Na początek zamierzono przeznaczyć na to po 2 godziny tygodniowo w ostatniej klasie gimnazyum. Do programu wykładu wejść mają: 1) mieszkanie i utrzymanie go w czystości, opalanie, okna, wentylacya, oświetlenie, meble, sprzęty, podłogi, pościel, naczynia stołowe i kuchenne; 2) odzież i pranie bielizny. oraz czyszczenie obuwia; 3) znajomość produktów żywno

śćiowych i utrzymanie stołu; woda, herbata, mleko, produkty nabiałowe, cukier, sól, mąka, kasza, jaja, mięso, ryby, owoce itp. Stół dla chorych. Rachunki i budżet domowy. Sporządzanie spisu bielizny, odzieży, mebli i naczyń, prowadzenie książki dochodu i wydatków itp. Zakłady tego typu wzorowo urządzone i prowadzone istnieją oddawna w Szwajcaryi.

Wpisy. Zarząd politechniki warszawskiej zawiadomił studentów I kursu, że nie mogą być zwolnieni od wpisu.

Praca więźniów. Inspekcya więzienna w Warszawie zwróciła się do magistratu z propozycyą, aby niektóre zamówienia dla potrzeb miejskich oddawał warsztatom więziennym, oraz aby więźniów używano do robót publicznych, np. zamiatania placów, kopania ziemi itp.

Wiadomości społeczne. Policya lwowska rozwiązała zgromadzenie ludowe, na którem obradowano w sprawie wydalonych politechników zagranicznych.

— W uniwersytecie rzymskim utworzył się komitet dla zbierania podpisów na proteście przeciw „okrucieństwom pruskim nad ludnością polską."

Obieżysasi. Namiestnictwo galicyjskie wydało okólnik, w którym zawiadamia, że rolnicy niemieccy pokryją zapotrzebowanie najmitów rolniczych w tym roku prawie wyłącznie siłami krajowemi, które skutkiem zastoju w przemyśle niemieckim nie mają zajęcia. Okólnik przestrzega więc robotników galicyjskich, aby nie udawali się do Niemiec bez poprzedniego zawarcia kontraktu z należycie wylegitymowanym pełnomocnikiem pracodawcy.

Hakata. W bydgoskiej izbie karnej odbył się proces przeciw sołtysowi z Ojrzanowa (w Poznańskiem), p. Oźminie, o „obrazę nauczyciela," którą miało być wniesienie na niego skargi do regencyi za obchodzenie się z dziećmi „w sposób urągający wszelkiemu opisowi." Izba uwolniła oskarżonego.

— Sąd poznański skazał odpowiedzialnego redaktora *Górnoślązaka*, p. Jana Kamieńskiego, na siedem miesięcy więzienia, za obrazę regencyi poznańskiej i nauczycieli w artykule o obecnem szkolnictwie pruskiem.

— Z przeznaczonych do Wrześni i Śremu batalionów pousuwano żołnierzy narodowości polskiej.

— *Nowej Reformie* odebrano debit pocztowy w Niemczech na dwa lata.

Lombardy. Senat rządzący wyjaśnił, że podana w kwicie lombardowym taksa zastawionego przedmiotu nie ma żadnego znaczenia w razie, jeżeli przedmiot zaginął z winy lombardu. Właściciel może żądać zwrotu całkowitej wartości zastawu na zasadzie wiarogodnych dowodów.

Prasa. Z rozporządzenia władzy wstrzymano na 3 miesiące sprzedaż pojedynczych egzemplarzy *Petersb. Wied.*

Wystawy. D. 14—16 listopada r. b. odbędzie się w Łodzi wystawa ogrodnicza.

Zjazdy. Wkrótce ma się odbyć w Warszawie XXIV zjazd inżenierów kolejowych.

Przemysł. Z powodu zastoju w kopalniach węgli w zagłębiu donieckiem, górnicy tamtejsi, werbowani przez agentów, wyjeżdżają gromadami do takichże kopalń na Syberyi.

— Wkrótce ma powstać w Warszawie fabryka galanteryi blaszanej, sprowadzanej dotychczas z Niemiec. Fabrykę zakładają krajowcy.

Koleje i komunikacye. W r. b. na kolejach rosyjskich wprowadzone będą wagony pocztowe nowego typu, w których na wszystkich stacyach przyjmowana będzie korespondencya rekomendowana oraz sprzedawane marki pocztowe.

— Od maja r. b. cena biletów osobowych w pociągach kuryerskich ma być znacznie podwyższona, około 30 proc. w kl. I i 40 proc. w kl. II.

— W celu zapewnienia bezpieczeństwa życia i mienia podróżujących kolejami, postanowiono połączyć dzwonkami elektrycznymi wagony kl. I z przedziałami dla służby pociągowej. W przyszłości połączone będą w ten sposób wagony wszystkich klas.

Zdrowie publiczne. W Sydney wybuchła dżuma w przerażających rozmiarach.

Katastrofy. W Telluride (Kolrado) lawina porwała z sobą zabudowania kopalni „Liberty Bell," grzebiąc jednocześnie 75 osób.

Zmarł. Zygmunt margrabia Wielopolski, syn Aleksandra, przebywający na kuracyi w Berlinie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. Gir. we Lwowie. Artykułu drukować nie możemy. Do odebrania w redakcyi.

Panu Radomyskiemu. Wiersza nie umieścimy. Do znużenia temat się powtarza. Nie możemy wnosić z tej próbki, czy jest talent, a próżnych nadziei budzić nie chcemy. Już aż nadto mamy grafomanów.

Panu L. B. Odesłaliśmy do „Krytyki."

OFIARY.

Na wpisy dla młodzieży:

Pani Siekołowska z Sieprawki . . rb 10.

SPROSTOWANIE. W numerze poprzednim w Pamiętniku p. t. „Widoczek swobody", na str. 102, szp. 1, w. 16 od góry, powinno być: „które jeszcze mogą być przysmakiem kozłów, ale już nie mogą być wawrzynem bohaterów."

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Февраля 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.